

KAMENIA

LUBLIN

31.XII.1961

Nr 24 (238)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Czy wszystko przyszło nam łatwo? • Ruch oporu na Lubelszczyźnie • O języku poezji • Paradoxy felietonu • Nareszcie dobry teatr • Rzeszów: PPR na Rzeszowszczyźnie • W dolinie żółtego skarbu • Rzeszowskie tradycje teatralne • I in.

Tak było...

WALDEMAR BABINICZ

ZIMA była śnieżna, mroźna, długie Zaczęła się w listopadzie, trwała do maja. Być może zresztą, że tylko w tej naszej odciętej od świata wiosce. Duże słowo: wioska. Raptem osiemnaście chałup i szesnastie budynków gospodarczych. Wszystko to zapadłe między dwoma lasami, liściastym i iglastym, przyczepione na zboczu skalistego brzegu dawno wyschniętej rzeczulki. Wymarzone miejsce dla takich jak my uchodźców. Do gminy jedenaście kilometrów, do miasta powiatowego czterdzieści, nawet do kościoła dziesięć. Nikt tu się nie kwapił do władzy świeckiej, nikt nie szukał pociechy u dalekiego duszpasterza. Niemcy zaglądali rzadko i tylko latem. Jesień, zima, wczesna wiosna — spokój, nie zakłócany nawet wieściami ze świata czy dalekiego frontu.

W każdej zagrodzie gość nie nagabywany przez gospodarzy, pozostawiony sobie. Trochę skąpego jada dwa razy dziennie przy wspólnym gęsto obsiadyłym stole. Menu ściśle i raz na zawsze ustalone przez panie domów: barszcz z ziemniakami na śniadanie, kasza z kluskami na późny obiad-kolację. Kawa, prawdziwe papierosy, likier w imaginacji lub w długich wspominkach wieczornych. Rozmowy zresztą były ciekawe i pouczające. U Galickiego schodziła się cała wieś, zaraz po zachodzie słońca. To znaczy ośmiu, dziesięciu dorosłych gospodarzy i my, uchodźcy. Kobiety zostawały przy dzieciach i w ogóle, „na wszelki wypadek”. Młodzież załadniała sąsiednie lasy.

Rozmawiano się o wszystkim: o historii sztuki, o demografii, o literaturze, astronomii, nawet o narzeczach murzyńskich. Grało się w brydża. Wszyscy oczywiście legitymowali się fikcyjnymi ausweisami z ptaszkami, wszyscy nazbyt głośno i nazbyt często powtarzali swoje nazwiska, chętnie się zawodami stolarzy, introligatorów, kucharzy, jubilerów. Wszyscy pracowali w ciągu dnia fizycznie. Rąbali drzewo, rżnęli siewkę, czyścili chude krowy, wymiatali śnieg spod chałup, uczyli dzieci gościnnych, mleczących, nieskorych do zwierzeń gospodarzy. Sam Galicki był dziwny. Z półsłówka, z uwag, z ostrych, rzadko wtrąconych zdań w czasie naszych wieczornych dyskusji, domyślaliśmy się, że musiał to być człowiek wykształcony, gruntownie czytany. Wyrażał się zresztą poprawnie, zawsze krótko, rzeczowo, nie dodając, nie ujął. W dzień pracował ciężko, grzeździe, ale stanowczo odmawiał wszelkiej pomocy. Był niewątpliwie miejscowym, wyraźnie szanowanym obywatelem. A jednak ręce miał inne niż wszyscy gospodarze, gładkie, bez supelków, palce ruchliwe, długie, wygimnastykowane. I cerę miał łną, nie spaloną na słońcu, nie popękaną na wietrze, ale jakąś szarą, z lekka pożółkłą. Worki pod zmęczonymi, bystro, wnikliwie patrzącymi oczami.

Nagabywałem nieraz swojego gospodarza o Galickiego. Z nudów oczy-



Park naleczowski

Fot. W. Ziolkowski

(Patrz też „Zwiedzając Muzeum Prusa” na str. 3)

wieście i wyniku nowej pasji odgadywania zawodów z ruchów, z mimiki twarzy, ze sposobu wysławiania się. Gospodarz wzruszał ramionami i, jak wszyscy w tej wsi, mruczał niewyraźnie.

— Tutejszy, panie, chłop. Swój. I po co to panu? Was nikt tu o nic

nie pyta. Mówi pan: introligator? Niech tam. Nam bez różnicy.

Wygadała się oczywiście gospodyni. Plakała potem, molestowała, błagała, żeby słówkiem mężowi nie pisał.

— Zabije, panie. On już taki. Przyniosła krzyż, kazala przysiąc.

— Dwa palce niech pan położy. O,

Tak najszczęśliwszego Nowego Roku życzę Wam, Mili Czytelnicy, Iespół redakcyjny i administracyjny „Kamienia”!

tak, teraz dobrze. Teraz już wierzę. Bo ten Galicki, panie, to komunista. Cała wieś o tym wie. Ale się chłopcy zmówili, żeby go przetrzymać. Gospodarka jest nie jego, brata, którego wzięli w sierpniu w trzydziestym dziewiątym. Nie wrócił. A ten się zjawiał w czterdziestym, papiery mu soltys wyrobił na tamtego zaginionego i dobrze. Dziesięć lat siedział w kryminale. Za politykę, za ten swój komunizm. Jeszcze by poszedł, gdyby nie wojna. Ważny był, to byle jakiej kary dać nie mogli. Chłopy tłumaczyli nam, że grzech takiego odtrącać. Nie wiadomo, panie, jak się ta wojna potoczy. Może Ruski przyjdzie? Przyjdą, a my: „Widzicie? Komunista uchwaliliśmy” Ważne, nie?

(Dokończenie na str. 4)

Żeby wychować ludzi światłych i pracowitych

Wywiad z kuratorem OSŁ, posłem na Sejm dr Edwardem Zachajkiewiczem

Minister oświaty, Wacław Tułodziecki, w przemówieniu wygłoszonym z okazji Międzynarodowego Dnia Karty Nauczyciela, nakreślił zadania szkolnictwa Polski Ludowej. Jednym z podstawowych jest dobre przygotowanie techniczne młodzieży — którego wymagają nowe osiągnięcia nauki. Trzeba dokonać korekty istniejącego systemu nauczania w szkołach typu ogólnokształcącego i technicznego. Szczególny nacisk kładzie się obecnie na tworzenie pracowni przedmiotowych, a zwłaszcza zajęć praktycznych. Powołane zostały specjalne komisje programowe, które zastanawiają się nad zmianami w zakresie materiału programowego i opracowaniem nowych podręczników. Reforma szkolnictwa wymaga od nauczyciela pogłębienia swej wiedzy, a przed terenowymi władzami szkolnymi stawia bardzo poważne zadania.

Zwracamy się do Kuratora Okręgu Szkolnego Lubelskiego dr Edwarda Zachajkiewicza z pytaniem: Jak przygotowują się nauczyciele Lubelszczyzny do tych zadań?

KURATOR: Dotychczas Kuratorium opracowało sieć 8-letniej szkoły podstawowej we wszystkich powiatach. Wizytatorzy Kuratorium przeprowadzili konsultacje w sprawie reformy szkolnictwa. Przewiduje się, że niedługo odbędą się dyskusje w gromadzkich, powiatowych, miejskich i wojewódzkich radach narodowych, ażeby zatwierdzić opracowaną sieć szkolną. We-

dług przewidywać trzeba będzie zbudować tysiąc czterysta izb szkolnych; w tym duży procent pracowni do zajęć praktycznych i pracowni fizyczno-chemicznych, na które kładzie się obecnie szczególny nacisk.

R: Zgodnie z uchwałą VII Plenum KC PZPR i ustawą z dnia 15 lipca 1961 roku o rozwoju oświaty opracowany został plan i zakres materiału nauczania dla 8-letniej szkoły podstawowej. Plan ten ostatnio został wydrukowany na łamach „Głosu Nauczycielskiego” i poddany pod dyskusję. Jakiej trudności trzeba będzie pokonywać na terenie Lubelszczyzny przy realizowaniu tego projektu? Jakiej są realne możliwości usunięcia tych przeszkód?

KURATOR: Plan i zakres materiału 8-letniej szkoły podstawowej wymaga dostarczenia poszczególnym placówkom odpowiedniej kadry nauczycieli z przygotowaniem przynajmniej w zakresie studium nauczycielskiego. W tym roku w SN w Lublinie dokonaliśmy korekty kierunków szkolenia, biorąc pod uwagę wytyczne nowej reformy. Plan rozbudowy sieci 8-letniej szkoły podstawowej spowodował konieczność zwiększenia liczby dokształcających się nauczycieli. Temu właśnie celowi służą punkty konsultacyjne SN dla trzech powiatów: w Bilgoraju, Białej Podlaskiej i Zamościu. Dokształcanie odbywa się według zamilowań uczęszczających i potrzeb danej placówki, ażeby nie powtórzyła się taka historia, jak w

pewnej szkole, która miała trzech geografów, a nie miała nikogo do nauczania matematyki.

Dobrze się stało, że UMCS otworzył Zaoczne Studium dla Nauczycieli pracujących w Zamościu. W ogóle należy podkreślić pozytywne wyniki współpracy Kuratorium z Katedrami Pedagogiki Wydziału Humanistycznego UMCS; umożliwiła ona dokształcanie się wielu nauczycielom lubelskim. Kuratorium jest bardzo wdzięczne Uniwersytetowi za dotychczasową pomoc i pragniemy, ażeby więcej kształcono matematyków i fizyków, bo w tym zakresie szkolnictwo odczuwa poważne braki.

Planujemy też w przyszłym roku zorganizowanie kursów wakacyjnych (okolo 20) dla tych, którzy chcą pogłębić swą wiedzę zawodową i pedagogiczną.

Dużą bolączką szkolnictwa jest brak pedagogizacji wśród nauczycieli w szkołach typu przysposobienia rolniczego. Dla nich właśnie planuje się na przyszły rok dalsze kształcenie w SN (zaoczne) poprzez zorganizowanie stacjonarnego studium obejmującego rolnictwo i metal.

Jeśli chodzi o obecne Liceum Pedagogiczne, to w przyszłym roku mamy je przemianować na Studium Nauczycielskie, a to dlatego, że obecnie dosyć już jest nauczycieli na poziomie Liceum Pedagogicznego, a 8-letnia szkoła

(Dokończenie na str. 2)

Żeby wychować ludzi...

(Dokończenie ze str. 1)

podstawowa wymaga kadr o wyższych kwalifikacjach.

Jeżeli 8-letnia szkoła podstawowa i średnia ma realizować nowy program nauczania, należy pamiętać o wyposażeniu szkół w pomoce naukowe i sprzęt a zwłaszcza pracownice fizyczne, chemiczne i zajęć praktycznych. Przewidujemy wyższe sumy do 1963 r. na pomoce naukowe, zakupienie narzędzi, obrabiarek. Szkołę należy powiązać z życiem gospodarczym państwa, duży nacisk położony na zajęcia praktyczne w zakładach pracy uczniów ze szkół zawodowych i ogólnokształcących. Należy tu podkreślić żywe współdziałanie zakładów pracy. W ramach opieki nad szkołami przekazały one niejednej placówce wiele pomocy naukowych, obrabiarek, maszyn do szycia, narzędzi. Świadczą też na rzecz budowy szkół na sumę 18 mln zł. Poważne osiągnięcia przyczyniły się do zajęcia przez nasze województwo I miejsca w Polsce. Zawdzięczamy to przede wszystkim powiatowym i wojewódzkim radom szefostw. Na szczególne wyróżnienie zasługuje przykład i pomoc dyrektora Zakładów Sprzętu Instalacyjnego w Poniatowej — tow. Połcia, a także dyrektora Lubelskich Przej. i Telegrafów — tow. Zarębskiego. Wiele szkół dzięki życzliwości placówek przemysłowych w Kraśniku, Poniatowej i Lublinie (LDP) mogło spotkać się już niejednokrotnie z konkretną pracą produkcyjną. I na tych właśnie kontaktach najbardziej nam zależy.

R: Chcielibyśmy się dowiedzieć, jakie są najważniejsze dotychczasowe osiągnięcia szkolnictwa lubelskiego w zakresie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego? Jak przygotowała się i jak przygotowuje do tych obchodów nasza młodzież? Na co kładzie się największy nacisk dzisiaj i jakie są plany na jutro?

KURATOR: Trzeba stwierdzić, że chociaż wszystkie szkoły mają plany, w których uwzględniona jest tematyka Tysiąclecia, coraz więcej placówek zaczyna dodatkowo prowadzić badania historyczne na własnym terenie, zyskując niejednokrotnie duże poparcie społeczeństwa. Kuratorium zbiera ponadto materiały do monografii szkół średnich Lubelszczyzny. Ważne jest niewątpliwie to, że problematykę Tysiąclecia realizujemy nie tylko poprzez lekcje. Z dużą pomocą przychodzi nam tutaj kółka zainteresowań młodzieży, które ostatnio bardzo często organizują wycieczki szlakami Tysiąclecia. Szczególnie duże osiągnięcie ma w tym zakresie Szkoła Ogólnokształcąca w Chełmie, której uczniowie znaleźli prehistoryczne zabytki — ślady osadnictwa w pasie łączynsko-włodawskim. W Chełmie zorganizowano wystawę znalezionych przez młodzież eksponatów. Aktywnie do pracy włączyło się też harcerstwo. Zorganizowało ono szereg obozów na terenie Lubelszczyzny, dając w ten sposób młodzieży szansę poznania piękna naszego regionu.

R: Przysłowiowym oczkiem w głowie Kuratorium jest na pewno Lubartów i jego eksperyment. Na ten temat prasa pisała dość dużo i dla nikogo nie jest już tajemnicą, że żądaniem organizatorów było ożywienie życia kulturalnego tego terenu. A więc eksperyment lubartowski jest jak najściślej związany z ruchem, który można określić mianem neoregionalizmu. Zakłada on, jak wiadomo, nie tylko popularyzowanie i kultywowanie tradycji, ale przede wszystkim aktywizację miejscowego środowiska i dążenie do wszechstronnego rozwoju regionu. Lubartów dowiódł, że to łączenie przeszłości z teraźniejszością jest jak najbardziej słuszną. Praca Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Lubartowskiej, wydane cztery tygodniówki, organizowanie muzeum dzięki ofiarności społeczeństwa i szereg innych akcji — to dowody wartości regionalizmu wychodzącego ze szkoły. Dlatego też nie od rzeczy będzie zapytać, czy poza Lubartowem znajdują się jakieś inne miejscowości, w których nauczyciele wykorzystywali by neoregionalizm dla podnoszenia kultury i oświaty miejscowego społeczeństwa? Warto też dowiedzieć się, w jaki sposób wykorzystuje się do budzenia wśród uczniów przywiązania do rodzinnych ziem, prasę lubelską i książki?

KURATOR: Wiele szkół na terenie Lubelszczyzny opracowuje plany działania ze środowiskiem pod hasłem: szkoła ośrodkiem oświaty i kultury. W jaki sposób realizujemy to hasło? Prze-

de wszystkim poprzez odczyty TWP dla miejscowej ludności i różnego rodzaju kursy (kroju, szycia, gospodarstwa domowego itp.). Dzięki naszym wysiłkom, dzięki poparciwu PWRN i innych instancji, które przyszyły z pomocą finansową, wyposażyliśmy już wiele świetlic w aparaty radiowe, telewizory i księgozbiory. Już dzisiaj można mówić o pozytywnych wynikach. Obserwuje się wyraźne zbliżenie miejscowych środowisk do szkół. Rozpoczęła się też praca nad uspołecznieniem mieszkańców Lubelszczyzny. W organizowaniu zbiorów społecznych, wyżywianiu się z planowych dostaw dla państwa pionów, budowie świetlic, remiz i dróg — nauczyciele na wsi mają swój poważny wkład. To samo trzeba powiedzieć i o młodzieży. Poza wymienianym już Lubartowem trzeba szczególnie wyróżnić Chełm i Łuków.

Chciałbym przy okazji zaznaczyć z uznaniem, że Wydawnictwo Lubelskie wydaje coraz więcej pozycji z zakresu literatury i historii — związanych z Lubelszczyzną. Staramy się te książki popularyzować.

R: Skoro już jesteśmy przy książkach, może warto byłoby zwrócić uwagę na jeszcze jeden problem. Otóż w naszym społeczeństwie panuje przekonanie, że należy dzielić pedagogów na naukowców i nauczycieli. Towarzysz Kurator swoim własnym przykładem zaprzeczyl temu nierozsądnemu podziałowi, pokazując, że pełnienie nawet tak poważnych obowiązków, jakie wiązą

ję ze stanowiskiem kuratora i posła na Sejm nie potrafiło przeszkodzić pracy naukowej i zdobyciu doktoratu. Ten przykład z góry powinien zachęcać nauczycieli do podnoszenia kwalifikacji i chyba najwięcej do powiększenia będą tu miały studia zaoczne. A więc współpraca z UMCS...

KURATOR: Tak. Moim marzeniem jest właśnie powołanie nauczycieli z Katedrami Pedagogiki UMCS. Chodzi przecież o to, żeby pracownicy nauki poculi się współgospodarzami w lubelskich szkołach podstawowych, żeby pomogli nam w realizacji uchwał i zamierzeń VII Plenum w sprawie reformy. Chętnie udostępnimy nasze szkoły wszystkim tym, którzy chcą eksperymentować. Apelujemy gorąco do profesorów i asystentów, by pomogli nam w jak najszybszym uzupełnianiu kadr i przygotowaniu nauczycieli, zwłaszcza matematyków i fizyków. W oparciu o dotychczasowe osiągnięcia mamy prawo spodziewać się, że współpraca ta przyniesie jeszcze lepsze wyniki.

R: Wypada więc życzyć towarzyszywi Kuratorowi jak najpełniejszego zrealizowania planowanych zamierzeń i oczekiwać systematycznych informacji o nowych sukcesach lubelskiego szkolnictwa.

KURATOR: W związku z dzisiejszą rozmową chciałbym nadmienić, że z przyjemnością obserwujemy rozwój „Kamieny” i jej silne zaangażowanie się w życie kulturalne Lubelszczyzny. Pragnęlibyśmy jednak, by więcej poświęcała miejsca sprawom oświaty, szkolnictwa.

Z Kuratorem OSŁ, dr Edwardem Zachajkiewiczem rozmawiała
Elżbieta Resiak

CZY WSZYSTKO przyszło nam łatwo?

W UPALNY dzień czwartkowy 1945 r. wróciłam do Lublina. Przez 3 tygodnie otwartym wagonem, wożącym szyny z głębi Niemiec do Związku Radzieckiego, jechałam spod Meklemburgu do Polski. W cudacznym wprost stroju (spódnica obozowa z wymalowanymi przez całą długość dwoma białymi pasami przeciętymi na krzyż, kurtka w kratę przerobiona ze znalezionej w Niemczech męskiej bonzurki, w męskich butach i w grubych, wychudła wysiadła na dworcu w Lublinie. Była oktawa Bożego Ciała. Ludzie szli odświętnie ubrani, w letnich jaskrawych sukienkach, właśnie z procesji. Gdzie tu pójść? Do Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Partii Robotniczej przebież wszystkim. Ale kogo tu zapytać, gdzie jest ten komitet partyjny? Idę wolno ulicą 1 Maja, rozglądam się ciekawie. I nagle sklep LSS. Tu na pewno mi powiedzą. Przecież w okresie największego terroru sanacyjnego LSS pomagała komunistom. Wchodzę, w sklepie pusto, jakieś sztaby żelazne, łańcuchy, jednym słowem żelastwo. Za ladą starszy pan. „Towarzyszu, czy nie moglibyście mi powiedzieć, gdzie mieści się Komitet Wojewódzki PPR?”. „Po pierwsze nie jestem żadnym towarzyszem, a po drugie nie wiem, gdzie się mieści jakiś tam komitet!” — padła oschła odpowiedź.

Gdy kilka dni potem na posiedzeniu Egzekutywy KW PPR opowiedziałam towarzyszom o moim pierwszym rozczarowaniu, tow. Grzybowski szef Urzędu Bezpieczeństwa, odpowiedział mi dowcipnie: „Bo widzisz, gdybyś myślała dialektycznie, to byś wiedziała, że czasy się zmieniły i ludzie również, a przyjaćlił trzeba było szukać w gmachu na Zielonej, właśnie tam, gdzie byłaś przed wojną więziona. Tam by ci powiedział, gdzie jest Komitet Wojewódzki PPR...”

Sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego był wtedy tow. Wiktor Konopko. Przyjął mnie serdecznie i od razu zorganizował pomoc i opiekę.

— Ty tu jesteś właściwie gospodarzem — mówił żartobliwie — tu pracowałaś, tu odsiadywałaś wyroki. My to jesteśmy przelotne ptaki. Gdzie byś siebie widziała w tych ciężkich czasach? Wiesz, nie mamy jeszcze kierownika Wydziału Propagandy. Chyba spróbujesz.

I tak zostałam pierwszym w naszym województwie kierownikiem Wydziału Propagandy KW PPR w Lublinie.

Komitet Wojewódzki mieścił się na Krakowskim Przedmieściu 62, tam gdzie dziś Wojewódzki Ośrodek Pro-

pagandy Partyjnej. Przed budynkiem przechadzał się żołnierz z pepeszą, wchodziło się za przepustką.

Czasy były niespokojne, każdego dnia ginęli towarzysze. Dzień pracy w Komitecie Wojewódzkim rozpoczynał się od przyjmowania meldunków o powiatach o napadach band faszystowskich na posterunki milicji, na komitety partyjne, o towarzyszach, którzy padali. Jeszcze wczoraj byli w Komitecie Wojewódzkim, otrzymywali polecenia partyjne, wierzyli, że je wykonają, wierzili w życie nie w śmierć. Często w drodze powrotnej do powiatu dosięgała ich kula. I zaraz na drugi dzień ktoś drugi jechał na opróżnione miejsce.

Komitet Wojewódzki robił w tych dniach wrażenie jakiegoś specyficznego sztabu generalnego. Na biurku sekretarza mapa województwa i na niej zakreślone gminy, powiaty bez kierownictwa partyjnego czy administracyjnego.

Krótko oplakiwaliśmy towarzyszy, ważniejsza była walka, a ona wymagała natychmiastowej decyzji — kto pojedzie na niebezpieczny teren.

Organizacje partyjne szczególnie na wsi były pod stałym ostrzałem wroga. Byli towarzysze, którzy miesiącami nocowali w polu, ale wioski swojej nie opuścili. A w chacie pod ręką mieli zawsze pistolet, w kącie zaś pepeszę i kilka granatów. Raźniej się człowiek czuł.

I choć każdy wyjazd w teren był ogromnie niebezpieczny, byliśmy bardzo blisko mas. Aparat administracyjny był jeszcze słaby, nawyki biurokratyczne żadne, działać mogliśmy tylko w bliskiej więzi z robotnikami i chłopami.

Pamiętam nasze wyjazdy niedzielne w najbardziej odległe zakątki Lubelszczyzny. Ekipy aktywu robotniczego zbierały się w Komitecie i stał samochodami ciężarowymi wyjeżdżało się na rozmowy z chłopami. Wiece organizowano koło kościoła, tak by zapewnić im jak najwyższą frekwencję. Różny przebieg miały te wiece. Czasami trzeba było odpowiadać szybko na wystąpienia inspirowane przez wroga, wysłuchiwać nawet kpni i wyzwisk, a nieraz i szybko uciekać. Ale w następnej niedziele znów czy deszcz czy mroź jeździło się na spotkanie z tym, co mówili ludzie.

I mimo niebezpieczeństw, które czyhały na każdym kroku, partia rosła, przybywali do niej nowi członkowie.

Chodziło nam w tym czasie o szybki wzrost partii. W nowych warunkach

(Dokończenie na str. 4)

RUCH OPORU na Lubelszczyźnie

WYDAWNICTWO Lubelskie coraz więcej wydaje książek tematycznie związanych z okupacją i ruchem oporu. Czyń to zresztą słusznym, gdyż na Lubelszczyźnie Polska Partia Robotnicza była jednym z najaktywniejszych ośrodków w kraju. Z inicjatywy własnej kapońców w roku 1941 w Ikrasniku powstała Robotniczo-Chłopska Organizacja Bojowa, w powiecie chełmskim — Czerwona Partyzantka, w pow. włodawskim — Związek Młodochłopski, zwany później Bojową Organizacją Ludową. Z tych i z szeregu innych drobnych grup bojowych w roku 1942 powstała jedna (ale nie jedyna) licząca organizacja zwana Gwardią Ludową, Początkowo GL dzieliła się na dwa okręgi: lubelski i siedlecki. Pod koniec roku 1942 Dowództwo Główne powołało dowództwo obwodowe obejmujące w/w okręgi. W związku z szybkim rozwojem Obwodu II GL i AL struktura organizacyjna ulega coraz to nowym zmianom.

Równocześnie z GL i AL, a nawet wcześniej, działały Bataliony Chłopskie, które stanowiły jedną z najliczniejszych organizacji ruchu oporu. Podlegały one Centralnemu Kierownictwu Ruchu Ludowego (ROCH). Kompetencje w zakresie organizacyjno-wojskowym powierzono Komendzie Głównej BCH, za całokształt zaś pracy politycznej odpowiadał ROCH. BCH w całym kraju dzieliły się na okręgi. Lubelszczyzna stanowiła Okręg IV dzielący się na 15 obwodów. Pod względem struktury wewnętrznej organizacja dzieliła się na oddziały terytorialne, terytorialne i specjalne. Sytuację wsi w okresie okupacji oraz polityczną problematykę poruszały periodyki bębnowskie. Z Lubelszczyzny związane były także tytuły, jak: „Chłopski Znak”, „Dzień Wolności”, „Komunikaty radiowe”, „Kulka”, „Lubelska Agencja Informacyjna”, „Orle Ciosy”, „Regionalna Agencja Prasowa Podlasie — RAPP”, „Świat w ogniu”, „Z ziem wysiedlonych” i inne.

Materiały publikowane przez Wydawnictwo Lubelskie dotyczą historii II Obwodu GL i AL (tom I), oraz BCH (w druku, tom II).

Pierwszy tom źródeł do dziejów GL i AL na Lubelszczyźnie zawiera 218 dokumentów (s. 29—210). Są to rozkazy komendantów i dowódców, raporty, protokoły oraz wyliczne dla poszczególnych oddziałów. Wszystkie dokumenty zaopatrzone dość szczegółowym komentarzem opracowanym przez Zygmunta Mańkowskiego i Jana Naumiuka. Wstęp (s. 3—28) obrazuje powstanie i rozwój Polskiej Partii Robotniczej, struktur organizacyjnych Obwodu II GL i AL, obsadę personalną dowództwa obwodowego i okręgowego GL i AL, powstanie i działalność GL i AL w województwie lubelskim. Aneksy (s. 371—383) zawierają artykuły, komunikaty, relacje, sprawozdania drukowane w prasie okupacyjnej, w takiej, jak: „Gwardzista”, „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Ostatnie Wiadomości”, „Armia Ludowa”, „Żołnierz Lubelszczyzny”, „Razem na Niemca”.

Drugi tom źródeł do dziejów BCH, który ukazuje się pod koniec br., zaopatrzone jest wstępem i komentarzem opracowanym przez Zygmunta Mańkowskiego, Jerzego Markiewicza i Jana Naumiuka. Wstęp wprowadza w historię BCH, struktur organizacyjnych, obsadę personalną. Szczególną uwagę zwrócono na oddziały specjalne działające na terenie Lubelszczyzny. Zasadniczą częścią tomu stanowi 217 dokumentów zaopatrzone w szczegółowe komentarze. W skład dokumentów wchodzi rozkazy, protokoły z narad, kwestionariusze statystyczne, raporty o dokonanych akcjach, raporty wydawcze o akcjach i siłach okupanta. Na ich podstawie można odtworzyć rozmach działania ruchu oporu na Lubelszczyźnie. Aneksy do tego tomu zawierają instrukcje o zasadach organizacyjnych Rocha i BCH, o zadaniach organizacji oddziałów specjalnych, o zasadach prowadzenia akcji dywersyjnej oraz o zasadach organizacji samoobrony.

Oba tomy zawierają indeksy nazw geograficznych oraz nazwisk i pseudonimów. Czytelnicy, szczególnie ci, którzy nie uczestniczyli w ruchu oporu, oraz ci, którzy uczestniczyli w nim, mogą wiele skorzystać z tego wydawnictwa. Bez względu na stan się zastrzeżenia co do nieporadnego stylu, czy lakoniczności niektórych informacji, biorąc jednak pod uwagę warunki, nie można odmówić wielkiej wartości dokumentom, stanowiącym cenne źródło dla badań dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie w latach 1939—1944.

W przyszłym roku ukazuje się szczegółowe kalendarium GL i AL na Lubelszczyźnie oraz szereg pozycji z dziedziny wspomnianej partyzantki. W planach Wydawnictwa znajdują się również powieści, których fabuła będzie oparta na dotychczas wydanych materiałach partyzanckich.

I jeszcze jedna sprawa. W rękach mieszkańców Lubelszczyzny znajduje się z pewnością dość dużo cennych materiałów z okresu okupacji. Część ich znajduje się w archiwum ZBoWiD, z którego do reuprzejmości pracowników, trafiła do reuprzejmości Wydawnictwa Lubelskiego. Ale czas najwyższy, by rozwijać się coraz bardziej Wydawnictwo zaoferowało swoje Wojskowe, by wzorem warszawskiego Wojskowego Instytutu Historycznego, także w Lubelszczyźnie znajdowało się jak najwięcej materiałów, których opracowaniem zajmie się na pewno redaktorzy. Pozostaje więc wystąpić z apelem do mieszkańców Lubelszczyzny, by przegladali swoje biblioteczki i wszystkie to, co nawet nie przedstawia w ich oczach wielkiej wartości, ujawnili Wydawnictwu Lubelskiemu.

Zb. J. Hirs

Ruch Opór na Lubelszczyźnie 1939—1944. Tom I. Gwardia Ludowa i Armia Ludowa (1942—1944). Źródła. Wstęp i opracowanie: Zygmunta Mańkowski i Jan Naumiuk. Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza 1969, s. 418, cena 60 zł.

Tom II. Bataliony Chłopskie. Źródła. Wstęp i opracowanie: Zygmunta Mańkowski, Jerzy Markiewicz, Jan Naumiuk. Drukarnia wyd. Wydawnictwo Lubelskie.

Motto: „Bo my kochamy słowo: podobnie jak pani kocha kamee, a pan prosi pana, stare męty i nowe także. Kochamy wszystko, co dotyczy słowa: jego życie; jego odmiany i drobne odcienie; jego związki i związki związków. A szczególnie kochamy nieznaną jego możliwość; to co my sami uczynić z niego potrafimy; kochamy każdą pracę nad nim.”

Tadeusz Peiper

TRUIZM pierwszy:
Poetka jest sztuką.

TRUIZM drugi:
Tworzywem sztuki poetyckiej jest jak i w każdej innej sztuce — doświadczenie ludzkie najszerszej pojęte.

TRUIZM trzeci:
Materiałem sztuki poetyckiej jest język.

Tak jak rzeźbiarz robi w kamieniu i glinie, tak poeta pracuje w języku, w słowie.

Ala praca w słowie jest mniej wdzięczna niż praca w glinie i w kamieniu, w przestrzeni i barwie. Praca w słowie jest niewdzięczna i trudna nie dlatego, że słowo jest oporne. To kamień jest oporny i dlatego sam przez swój opór pomaga wydobywaniu kształtu. Słowo zaś właśnie dlatego jest trudne, że jest zbyt giętkie i elastyczne, zbyt podległe, zbyt użone wobec artysty. Można to samo powiedzieć na tysiące sposobów, ale za każdym razem będzie powiedziane co innego. Każdy ma na podorędziu wszystkie słowa. Każdy ma na podorędziu wszystkie wielkie słowa. Łatwo jest powiedzieć: cierpię, kocham.

Stąd niebezpieczeństwa konwencjonalności, oportunistu słowa, wszelkich mistyfikacji i literackości, co na jedno wychodzi. Poeta jest tragiczną postacią — oczekującą wiecznie na cud, na cud przemiany symbolu — słowa w przedmiot, w rzecz, w obraz. Dopiero wtedy jakaś iskra wstępuje w proch słów. Jeśli ten cud nie nastąpi — pozostają tylko „słowa, słowa, słowa”. Niestety, cuda dzieją się rzadko. Poecie wydaje się, że już, już nazwaniem rzeczy — słowem przywołał rzecz samą. Tymczasem nadzieja znów okazała się zwodnicza. Słowo krzepnie w nową konwencję i szydzi sobie z wysiłków poety ucząc go jeszcze raz pokory wobec sztuki.

Jeśli poezja słabnie — następuje dewaluacja słowa w poezji. Nasz postromantyzm trwający w różnych odmianach poprzez poetów końca XIX wieku, Młodą Polskę, Skamander do ostatnich czasów — bardzo osłabił wagę słowa. U dawnych poetów — u Kochanowskiego, u Szymonowicza, u Trembeckiego — każde słowo miało swój osobny walor i ciężar. Każde słowo mocno siedziało w wierszu i nie

można go było zastąpić innym. Każdy epitet był jedyny i oryginalny. Rzeźownicy mieli swoją soczystość, kolor i brzydotę. Późniejszy wiersz, już bardzo często zdarza się to nawet Słowackiemu — jest jak potok, który niesie w sobie tylko tu i ówdzie twarde kamyczki rzetelnego słowa. Poza tym wiersz toczy się samą melodyjnością, coraz gładziej, coraz miłszym dla ucha, coraz bardziej obracający w plewe dźwięczność mowy.

Dlatego rewolucja w poezji zaczęła się od języka. Nowatorskie prądy poetyckie dążyły do tego właśnie, aby rozbić tę wdzięczną melodyjność płynących słów zwaną nie zawsze słysznie poezją. Bo częściej były to wiersze, nie poezja. Wiersze mizdrzące się

Listy o poezji (3)

O języku poezji

ANNA KAMIENSKA

rytmami i kokietującą rytmem, czyniące z twórczej pracy poety zajęcie zgoła niepoważne i słusznie pogardzane. Wszelkie manifesty nowatorskich grup kładły na pierwszym miejscu sprawę języka poezji. Rozpoczęły się doświadczenia, „dreczenie języka”, rozbijanie gramatyki i składni, wydobywanie waloru każdego poszczególnego słowa i międzyślowych spójek, porzucanie interpunkcji sprzyjającej konwencjonalności mowy, poszukiwanie nowych słów, nowych ziół językowych. Rozpoczęły się te wszystkie próby, które już dziś możemy ocenić z perspektywy czasu jako niezwykle ważne i owocne dla dalszego rozwoju poezji, mimo że poeci rozbijali sobie o nie lby i że im o nie lby rozbijano w obronie zagrożonego języka i gramatyki, w której spoczywa istotnie historyczna mądrość mowy.

Owoce tych obrazoburczych poetyckich wysiłków zbierają zresztą podziś dzień i ci poeci, którzy są jak najdalej od nowatorstwa i eksperymentarstwa. Po prostu synonimem nowoczesnej poezji stała się ścisłość, precyzyjność języka niemal matematyczna, walka z banałem literackim, poszukiwanie słowa ostrego, dobrego i świeżego.

Nowatorskie eksperymenty poetyckie miały jeszcze jedną wielką zaletę — szukały nowego słownictwa, nowej językowej rudy. W tym poszukiwaniu musiały się zwrócić do języka powszechnego, żywego, czy jak to się

mówi — potocznego, do języka ulicy, do wszelakich gwar i regionalizmów. Niestety, w Polsce te poszukiwania były zbyt nieśmiałe. Bruno Jasieński zrobił tu chyba największą. O wiele szersza była ta demokratyzacja języka poetyckiego w poezji rosyjskiej.

Zastanawiałam się nad przyczynami tego zjawiska. Niedawno dopiero świętuję do dziś myśliciel — Tadeusz Peiper jednym zdaniem rzuconym w rozmowie otworzył na te sprawy oczy kilku rozmówcom.

— Nie wyobrażamy sobie — powiedział — jak wiele zawdzięcza poezji prozie realistycznej.

To jasne. Przecież to proza realistyczna przyswaja i oswaja dla literatury całe obszary języka mówionego, potocznego. Znakomita rosyjska proza realistyczna XIX wieku, a także dramaty — wprowadziły do literatury gwarę chiopską, która u nas ciągle jeszcze brzmi sztucznie i obco w dialogu literackim. Przyczyna tego należy szukać między innymi na pewno w słabości naszej realistycznej prozy.

W literaturze bowiem nie może być sztucznych podziałów. Rodzaje literackie przechodzą w siebie i przepływają. Jak w maczyniach jednego organizmu — płynię w nich jedna krew mowy.

— Tak — powie ktoś może. — A jednak nie widzimy tych poszukiwań językowych w wielu wierszach publikowanych na łamach pism literackich i gazet. Wprost przeciwnie. Powstał jakby nowy banał, nowa konwencja.

To prawda. Czytelnicy poezji współczesnej powinni być szczególnie czujni i wymagający. Nie przyjmować za dobrą monetę wiersza mającego modny „nowoczesny” krój, ale w istocie banalnego i ubogiego. Wysiłek wielu młodych poetów idzie w kierunku metaforyzacji raczej niż w kierunku odświeżania i wzbogacania samego języka poetyckiego. Są zaś tacy, którzy pracę nad słowem pojmują jako kaleczenie i gwałcenie praw mowy i języka. Przesada i sztuczność w tej dziedzinie nie pomaga poezji. Sądzę, że należałoby tu przyjąć zasadę jakiegoś naturalnego wzbogacania mowy. Robią to na przykład niektórzy poeci pochodzenia chłopskiego, jak np. Jan Bolesław Ożóg, wprowadzający do swych wierszy wiele autentycznych ludowych nazw botanicznych i zoologicznych, wiele słów mało znanych lub mających posmak archaiczny, ale w mowie wiejskiej jeszcze żywych. Dzięki temu wiersze tego niedocenionego poety brzmią świeżo mimo prostej, tradycyjnej strofy.

Również i wierszom jak i ludziom w ocenie ich wartości zaglądamy głębiej w oczy, nie oceniając ich tylko zewnętrznie po modnym lub niemodnym stroju.

ZWIEDZAJĄC MUZEUM PRUSA...

AWIEC nareszcie. Nareszcie dobiełmy do brzegu. Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie stało się ciałem. Może je od 3 grudnia br. zwiedzać kto tylko tego pragnie. Pamiętając po wielkim mistrzu pióra spoczęły wreszcie w szklanych gablotach, dostępne, bliskie. Może się wruszać ich widokiem każdy wielbiciel „Lalki”, „Faraona”, „Emancypantek”. Na ścianie królują wielkie zdjęcie gabinetu, w którym pisarz tworzył. I aż wierzyć się nie chce, że wśród takich szpetnych mebli, nie mających nic wspólnego z którymkolwiek ze stylów, powstawały tak wspaniałe dzieła. No cóż, trucho. Taka była wówczas moda w architekturze wnętrz mieszkalnych. Toteż nie dziwnego, że Prus szukał natchnienia w zwiewnych zapachach mocnych perfum, w urokach nałęczowskiego krajobrazu... Park nałęczowski jest bardzo ładny — pisał — posiada mnóstwo drzew starych, liściastych i iglastych, mnóstwo ozdobnych krzewów, kwiatników, gajków i alei. Masa bżów robi wrażenie ścian płonących fioletowym ogniem, białą, czerwono i żółto kwitnącą kasztany przypominającą wiałynę choinki, oblepione zapalonymi świeczkami... Nałęczów... tu wypoczywam w naturze, która ma więcej uśmiechów serdecznych niż królewskiego majestatu, więcej dobroci niż siły... Odnaleźć te uśmiechy w twórczości Prusa nie trudno. Pilny czytelnik dostarczy je w perypetiach dziecinnych i dorosłych bohaterów, w epizodach i komentarzach.

Dobrze, że wśród zniszczeń wojennych, które jał ogarnęły Polskę, zachowały się stare drzewa nałęczow-

skiego parku i stare ściany pałacu Malachowskich, wśród których powstało wielkie dzieło o uporze polskiego chłopca i jego przywiązaniu do kawałka ziemi. — To tu — mówimy sobie stając na progu muzeum. — Tu narodziła się dziełna i pyskata Magda, ciężko myślący Słimak, Stasiak — odmiennic, artysta urodzony. I aż żal bierze człowieka, że Prus nie dożył naszych czasów. Jakże wspaniała byłaby powieść o Przybysławicach dzisiejszych. Wprawdzie po kolonistach niemieckich nie ma już śladu. Wszyscy chłopcy „dorabiają” sobie w Cukrowni — Garbów, która przecież stoi na przybysławickich ziemiach. Miejsce Domu Kultury nie powstydziłoby się i miasto wojewódzkie. Polowa dzieci uczy się w ognisku muzycznym. Twórca ludowy Bronisław Pietrak, mieszkający w pobliskim Gutawowie, został niedawno laureatem nagrody ministerialnej. A mieszkająca w przysiółku Mięsięca Bogusia Adamczyk ujęła w swoje ręce wyciannankarskie nożyce odziedziczone po dziadku Ignacym Dobrzyńskim i już doczekała się wystawy swoich prac. Co by z takiego materiału stworzył Prus!

ZOTWARCIEM Muzeum Prusa w Nałęczowie zbiegła się wiadomość podana przez prasę: zespół reżyserki z Jerzym Kawalerowiczem na czele przystępuje do realizacji filmu na podstawie „Faraona”. Nie nowa to myśl, panowie, nie nowa. Powstała ona już w 1926 roku. Powziął ją jeden ze znanych „prusologów”, prof. Feliks Araszkiewicz i w owym właśnie roku, w artykule pt. „Film a „Faraon” Prusa” wydrukowa-

ALINA TOMASZEWSKA

nym w 97 i 99 numerze „Ziemi Lubelskiej”, udowadnia filmowość dzieła. Artykuł ten nietrudno odnaleźć. Wszedł on w skład wydanej niedawno książki tegoż autora zatytułowanej „Dzieła i twórcy”, pod nieco zmienioną nazwą: „Faraon, w świetle jupiterów”. Ciekawsze jest to, iż od czasów owego 1926 r. kilkakrotnie w różnych krajach różne konkretny filmy nosiły się z myślą sfilmowania egipskiej powieści Prusa, ale myśl ta nie przynosiła spodziewanych owoców. Może więc tym razem doczekamy się wreszcie na ekranie fascynujących dzieł Ramzesa XIII i niezwykłych scenacji starożytnych. Zyczyć sobie — to znaczy nam, widzom — wypada, aby egipski tłum na ekranie nie prezentował poezycy mazurskich twarzy, a piramidy nie przypominały tekturowych domków z kart. Znając jednak rzetelność pracy Kawalerowicza i jego zespołu wierzymy, że do takich nieporozumień nie dojdzie.

POWRÓĆMY jednak do naszej chłuby — nowo otwartego muzeum. Ze względu na porę roku początkowo na pewno nie będzie zbyt wielu zwiedzających: garsz czasowiczów i pacjenci sanatorium. Ale niech tylko powrócą ptaki do nałęczowskiego parku i pierwsza zieleń delikatnym nalotem pokryje gałązki bżów — zaczynają się zjeżdżać zewsząd wycieczki szkolne. Gwar młodych głosów — tak miły ongiś Prusowi — otoczy Jego popierste, młode oczy będą oglądać Jego zdjęcia, rękopisy, pamiątki, jakie po Nim zostały.

PARADOKSY FELIETONU

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Już rodowód językowy felietonu jest swoiście zwiewny i pełen polotu. Feuilleton oznacza po francusku liść nie tylko na drzewie, ale i — jak go się również w dawnej Polsce nazywało — liść papieru, karteczkę, ulotkę. Podobnie zresztą jak słowa, tak i jako gatunek literacki felieton urodził się we Francji, i to dokładnie w roku 1800, kiedy Geoffroy oddzielił swoje publikacje w *Journal des Débats* od reszty kolumny grubą, poziomą, czarną kreską — taką, jaką jeszcze do dziś wyróżnia się w naszych dziennikach powieści w odcinkach. Ta gruba czarna kreska pozostaje nadal w pismach zachodnioeuropejskich graficznym znakiem rozpoznawczym felietonu, zapowiada, że umieszczona pod nią publikacja różni się smakiem od innych — oblicuje, zaciekawia, niepokoi...

Bowiem od początku swojej egzystencji felieton pełni w piśmie niełatwe obowiązki lekkiej a ostrej przystawki, przyprawy do esencjonalnej, bądź wodnistej strawy duchowej, która przelewa się obficie przez pozostałe łamy gazety, przez artykuły wstępne, informacje i korespondencje, komentarze i polemiki. Co nie znaczy, by felietonista nie miał i nie powinien mieć żywego i osobistego stosunku do tych wszystkich elementów otaczającego jego i czytelnika życia, jakie pasjonując czy dręcząc ich obu przedostają się na szpalty czasopisma, na falę radiową, przed kamerę filmową i telewizyjną. Przeciwnie: jeśli przejrzymy najbardziej klasyczne, typowe, a zarazem macierzyste dla polskiego felietonu „Kroniki Tygodniowe” Bolesława Prusa, które w międzywojennych „Wiadomościach Literackich” podjął Antoni Słonimski — przygniecie nas lawina najrozmaitszych problemów politycznych, społecznych, ekonomicznych, obyczajowo-moralnych, a nawet filozoficznych, jakie w tych „Kronikach” zostały poruszone, i to w sposób niebanalny, nietuzinkowy, nienudny. Felietonista bowiem korzysta do dziś z rzadkiego przy obecnej specjalizacji pisarzy i publicystów prawa do mówienia o wszystkim co ludzkie, pod warunkiem jednak, że potrafi pisać — nieraz w tym samym felietonie — o wystawie rasowych psów, o zaćmieniu słońca i o problemach moralnych współczesnej młodzieży dowcipnie, ciekawie i świeżo. Bo też nie bez słuszności niektórzy teoretycy, zwłaszcza programowi apologety felietonu, twierdzą, że właśnie felietonistę wybiera czytelnik spośród wszystkich współpracowników dziennika czy periodyku najchętniej na swojego ambasadora w świecie, patrzy na życie oczyma, powtarza przeczytane w felietonie kalamubry i dowcipy i — nieświadomie nieraz — przejmując od felietonisty jego poglądy i opinie nie traktując ich pozornie na serio. Tak właśnie bywało z ubiegłowieczną recepcją felietonów Dickensa i „Kronik Tygodniowych” Prusa, kiedy to cały bez mała ówczesny Londyn czy Warszawa cytował z aprobatą swoich ulubionych felietonistów.

Chwała felietonisty ma jednak obok blasków i cienie. Ulotność felietonu, która decyduje w dużej mierze o jego popularności, z drugiej strony ogranicza trwałość zadrukowanego listka papieru w niewdzięcznej pamięci czy-

(Dokończenie na str. 11)

Odtąd zaczyna się nowa era w dziejach Nałęczowa: obok chaty Zeromskiego, przybył drugi obiekt pielgrzymek — Muzeum B. Prusa. I za to właśnie, na tym miejscu, od nas wszystkich należy się serdeczne podziękowanie tym, którzy przyczynili się do utworzenia i otwarcia muzeum. A więc: władzom, ludziom, którzy ofiarowali do muzeum eksponaty, naukowcom, którzy ideę założenia muzeum zainicjowali i walczyli przez wiele lat o jej realizację, muzealnikom, którzy tak ciekawie skomponowali wnętrze i ekspozycję, a wreszcie wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób do otwarcia muzeum przyczynili się. Nazwiska ich wpisujemy złotymi literami do księgi rozwoju kultury na Lubelszczyźnie.

CZY WSZYSTKO PRZYSZŁO NAM LATWO?

(Dokończenie ze str. 2)

musieliśmy wyjść z tradycji partii kadrowej. Musieliśmy do partii przyjmować tych wszystkich, którzy chcieli iść z nami w walce o nową Polskę. Wierzyliśmy, że potrafimy w bezpośredniej rozmowie pozyskać masę dla naszej walki.

Do partii przyjmowaliśmy wtedy na zebraniach organizowanych w fabrykach, we wsiach, na zebraniach środowiskowych.

Pamiętam takie zebranie w fabryce „Buczka”. Dosty dużo ludzi, towarzysze partyjni skupieni razem, twarze reszty zebranych nieodgadnione. Trochę kobiet, pracujących już w nowo zorganizowanej fabryce. U „Buczka” nie spodziewaliśmy się trudności, jakoś sama nazwa fabryki napawała optymizmem.

Przemówienie zacząłem od historii walki i bohaterskiej śmierci Mariana Buczka. A potem o sytuacji w Polsce i na świecie, o trudnościach i pierwszych sukcesach przy przeprowadzaniu reformy rolnej i uruchamianiu fabryk, o roli partii. I przez cały czas z niepokojem obserwowałam twarze. Czy ich zdolam poruszyć, czy zechcą stanąć w jednym szeregu z nami.

Potem zabierali głos inni członkowie partii i nawet bezpartyjna robotnica, która знаła nas jeszcze przed wojną.

Na końcu pytanie: „Kto chciałby wstąpić do Polskiej Partii Robotniczej? Tu są deklaracje ideowe i ankietę, które na miejscu będziemy wypełniali”. Zgłosiło się dziesięciu nowych towarzyszy. Wielki sukces.

Należenie do partii będącej przy władzy jest w zasadzie atrakcyjne, bardzo często przyciąga nawet tych, którzy z ideami partii nie mają nic wspólnego, ale w tych latach PPR była przede wszystkim partią walcząca, należenie do niej nie dawało żadnych udogodnień. Myśmy ludziom mówili o trudach pracy partyjnej. I dlatego przychodzili do nas najlepsi, najbardziej ofiarni.

Nasza młodzież w roku 1961 z entuzjazmem mówi o rewolucji kubańskiej: „Co tam u nas, wszystko przyszło łatwo. Podziwu godni są towarzysze z Kuby, oni walczą bohatersko o zwycięstwo rewolucji!”.

Ja również podziwiam rewolucję kubańską, ale nasza walka była nie mniej bohaterska, pełna samozaparcia, głębokiego umiłowania ludu i rewolucji.

S. Przytyk

W AUTOBIOGRAFICZNYM utworze Cronina, popularnego w Polsce autora angielskiego, zatytułowanym „Moje życie” znajdujemy ciekawy opis źródeł, z których wypłynęła koncepcja jego powieści „The stars look down” (w polskim wydaniu zatytułowanej „Gwiazdy patrzą na nas”). Cronin, zanim zaczął pracować

GŁĘBOKO SIĘGAJĄ KORZENIE ŚMIERCI

WACŁAW GRALEWSKI

zawodowo jako literat, przez długie lata był lekarzem, a praktyki medycznej nabierał w kopalniach północnego okręgu.

Pewnego razu zawezwano go do wypadku, jaki wydarzył się na dnie kopalni. Ołbrzymi blok skalny urwał się z nienacka, przywalił pracującego górnika i zmiażdżył mu nogi.

Techniczne wyposażenie kopalni było prymitywne i wydobywiec rannego okazało się w praktyce niemożliwością. Trzeba było powziąć twardą decyzję: albo pozwolić nieszczęśliwemu skonać, albo odciać mu nogi i w ten sposób uratować życie. Mimo ciężkiego stanu górnika nie stracił przytomności. Wyposażenie kopalni było prymitywne nie tylko pod względem technicznym, ale również bardzo ubogie w środki sanitarne.

Lekarz do swej dyspozycji nie miał środków znieczulających.

A tu czas naglił. Trzeba się było decydować.

Cronin zrzucił z siebie ubranie, zaczął mocno trzymać delikwenta i piłą,

(Dokończenie ze str. 1)

— Aha. Ale może przecież ktoś wydać? Baby, dzieci.

— Niech pana Panienska Najczystsza ma w swojej opiece. Co też pan?

I po chwili, przyjrząwszy mi się uważnie, pochylała głowę, wyszeptala:

— Prawdę pan powiedział. Wygadałam się. Baba babą zostanie. Ale pan przysiągł, co? A może... może pan nie wierzący? Może i pan z tych samych, co Galicki?

Potrząsnąłem głową.
— A pan? — zapytałem bez zainteresowania.

— Ja? My? Widzi pan, że dzieci do pacierza przyuczone. U nas, panie, bieda, kościół dla nas za bogaty. Gdzie tam do tej chałupy — ogarnęła spojrzeniem ubitą, glinianą podłogę — gdzie tam naszej chałupie z chrztem się równać.

Tak powiedziała: chram.

Po tej rozmowie, z czystej głupoty, zacząłem popisywać się na naszych wieczornych spotkaniach swoim czytaniem. Cytowałem gęsto dzieła Marksa, Lenina, chełpiłem się znajomością z Brunonem Jasińskim, opowiadałem szeroko o pamiętnym zjeździe intelektualistów we Lwowie, o wierszu, który recytował Broniewski, o reakcji robotników na jego „Gotowe?”.

Galicki nie przerywał swojej konwersacji z sąsiadem, ale widziałem dobrze, że słucha mnie uważnie. Aż wreszcie któregoś wieczoru przerwał mi w połowie zdania, przygwoździł ciężkim, niechętnym spojrzeniem:

— Musiał pan mieć duży zakład introligatorski i chyba nie oddawał pan na czas książek klientom? Introligatory zawsze lubią coś podskubać. Taki już wasz zawód. Ukradkiem i z cudzego.

W izbie zapadła cisza. Takich ostrych słów nikt tu nie słyszał. Zaczerwieniłem się. Cisnęły się na usta różne słowa. Nie bez powodu byliśmy wszyscy na lewych papierach. Otrząsnąłem się szybko. Galicki miał rację. Dał dobrą naukę nam wszystkim. Za dużo mówiłem się w tej zapadłej wsi, za spokojnie było w zanurzonych po kominie w śniegu chałupach.

Pod koniec lutego Galicki znikł. Mówiono, że wyjechał do powiatu ugadać się z sonderfuehrerem o obniżenie kontyngentu.

— Wybraliśmy go, bo wygadanie ma i po niemiecku szwagorce jak Hitler — tłumaczyli poważnie nasi gospodarze.

— Jakoś długo nie wraca — niepokoiłiśmy się, spoglądając niepewnie po nieodgadnionych twarzach chłopów.

na żywca, odciały zmiażdżone nogi. Za taką cenę uratował mu życie.

Było już po północy. Nieludzko zmęczony wydosłał się na powierzchnię i zaczął wdychać ożywcze powietrze. Spojrzył w górę. Ciemne rozgwieżdżone niebo patrzyło jakby milionami oczu.

— Gwiazdy patrzą na nas — wyszeptal i osunął się na kolana...

Ten fragment książki przytoczyłem na spotkaniu z aktywnym górnikiem w Katowicach.

W dniach 7, 8 i 9 grudnia odbył się na Śląsku ogólnopolski zjazd Związku

Literatów. Korzystając z tego poszczególnie zakłady pracy zaprosiły pisarzy do siebie. Mnie i znanego poecie Jana Spiewaka zaprosiła kopalnia „Gottwald”.

W rozmowie, jak wyżej wspominałem, z przedstawicielami aktywno-pracowniczego, POP, Rady Zakładowej, kierownictwa technicznego i administracji zacząłem mówić o książce Cronina i ciężkich warunkach pracy górników angielskich przed kilkudziesięciu laty.

Przedstawiciel okręgu rolniczego, taki jak ja, chciał w jakiś sposób nawiązać kontakt z ludźmi innego, bardzo dla mnie egzotycznego świata, który znałem tylko z literatury i filmu. Jakoś chwyciło.

Widocznie to croninowskie bardzo sugestywne opowiadanie poruszyło w obecnych struny im tylko dobrze znane. Zniknął sztywny i oficjalny ton towarzyszący takim zetknięciom się ludzi. Zaczęli mówić żywo i serdecznie. Zabrał głos przewodniczący Rady Zakładowej. Był przez wiele lat ra-

Tak było...

— Iii, nie wielkiego. Pewnie musi z Niemcem zapieć interes.

Nie rozmawialiśmy między sobą na ten temat, ale co wieczór każdy wchodzący zadawał po stereotypowym „dobry wieczór”, niegłośnie pytanie: — Wrócił?

Trwało to oczekiwanie kilka tygodni. Komu nie są obce peregrynacje uchodźców mieszkających na wsi pod zmyślnymi nazwiskami, ten wie, jak bardzo ulegało się zbiorowej psychozie w różnych sytuacjach, z jakim trudem hamowało się panikę, uciszało wewnętrzny, żrący niepokój.

Niejaki Marchewka, stolarz, wyglądał codziennie pogadanki z historią sztuki, w czasie których nawet półanalfabeta chłop Matyskiewicz, tytułowany prelegenta „panem profesorem”, a audytorium z otwartymi ustami słuchało tych uroczych prelekcji przy blasku wybuchającej co chwila, cuchnącej karbidówki.

Jubiler opowiadał o Chałasińskim i o socjologii, właściciel sklepu warzywniczego o ekspedycjach polarnych.

W marcu wrócił Galicki. Coś tam bąkał o trudnościach z kontyngentami, o nieustępliwości Niemców, o sytuacji na froncie.

Po kilku dniach w izbie na wieczorach towarzyskich przedczył się. Ciągłe kogoś brakowało, a to gospodarzy, tych najbardziej czynnych, zawsze dyskutujących, zawsze chłonnych i żądnych wiedzy, to znowu przypadki na kilka dni nasz najlepszy brydżysta, dentysta Zych. I tak już ciągle aż do pierwszego kukuryznika, który ukazał się nad naszymi lasami gdzieś dopiero w lipcu w czterdziestym czwartym i zrzucił ulotki z wezwaniem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Czytaliśmy Manifest głośno, akcentując słowa, rozdzielając sylaby. Matyskiewicz słuchał stojąc, trzymając czapkę w ręce, polykając głośno ślinę.

Przeżyliśmy raz i drugi. I wtedy Galicki powiedział spokojnie, nie podnosząc głosu:

— Koniec Trzeciej Rzeszy, obywateli. Piszemy nowy rozdział historii

townikiem. Przeżył niejedno i widział niejedno. I niejednokrotnie sam omal życia nie postradał.

W pewnym momencie urwał i zamyslił się. A potem zaczął mówić wolno:

— O, na przykład nie tak dawno mieliśmy niezwykle wypadek. Tak jak u Cronina urwał się kilkutonowy blok i przywalił młodemu, dzielnego górnika. Szczęście w nieszczęściu, zwał skalny przytłoczył górnika, ale go nie zmiażdżył. Zahaczył się o jakiś występ. Miejsce, w którym górnik leżał, było ciśniejsze niż trumna. Nie mógł się on poruszać, tyle tylko, że z trudem oddychał. Ratownicy, choć z pewnym wysiłkiem, mogli wkładać ręce i zwiłzać twarz ofiary wypadku. Akcja ratunkowa trwała piętnaście godzin.

Trzeba było działać z wielką ostrożnością, bo każdy niewłaściwy ruch mógł spowodować osunięcie się bloku, no i w konsekwencji śmierć górnika.

Przez wiele godzin wysiłki nie dawały rezultatu. Ale nie ustawialiśmy ani na chwilę. Do otworu pompowaliśmy tlen, aby delikwent nie udusił się.

Dyrektor kopalni, którego górnicy kochają jak ojca, a on czuje się związany z ich losem na śmierć i życie, dwoił się i troił, wymyślał różne triki techniczne, aby jakoś uzyskać władzę nad tym potwornym dławiającym kamieniem.

Piętnaście godzin zaciętej walki życia ze śmiercią.

No i wreszcie udało się. Kamieniy dusiciel drgnął i podniósł się w górę o kilkanaście centymetrów. To wystarczyło, aby odebrać mu ofiarę. Górnika został wyciągnięty ze straszliwego kamiennego grobu.

Cóż to była za radość z odniesionego sukcesu. Zrozumieć to uczucie może tylko ten, kto zna pracę górnika i jego tryd. A najbardziej, jak dziecko, cięższy się dyrektor. Uściskał serdecznie wyrwanego ze szponów śmierci górnika jak własnego syna.

naszego kraju. Idzie Polska robotników i chłopów.

Dziś, kiedy piszę te słowa w grudniu sześćdziesiątego pierwszego już po latach kosmicznych, po komunikatach podawanych codziennie w mojej wsi za pomocą świetnie działającego telewizora, słowa tamte brzmią patetycznie, sztucznie. Ale wtedy... wtedy o jedenaście kilometrów od naszej wsi był dwór i pani dziedziczka jeździła karetą do kościoła z dziećmi i guwernantką, a starsza córka Matyskiewicza służyła we dworze od trzynastego roku życia. Więc wtedy słowa te brzmiały inaczej i zgola nie trzeba było być muzykalnym, aby usłyszeć melodię, ton, wszystkie podteksty tego zwiastowania.

Spojrzałem na jubiler — socjologa. Miał niemądre otwarte usta, przyglądał się z zainteresowaniem Galickiemu, nie spuszczał zeń oka. Było to zaciekawienie naukowca, obserwacja interesującego zjawiska, obiektu.

I znowu po ulotce zrzuconej przez samotnie krążący samolot radziecki Galicki znikł. Znikło też kilku gospodarzy. Tym razem bez kamufażu, bez anegdot na temat bimbru i przekupstwa szwabów. Wrócił w grudniu. W styczniu witaliśmy pierwszy oddział Armii Radzieckiej. Kilkunastu młodych żołnierzy, którzy wygramolili się z czołgów, trzymając niedbale ręce w kieszeniach, okazując najwyższą pogardę śmierci, pytali zadziornie:

— Niemcy u was byli? Da? A tiepierz udrali? Nu, a na szcztó wodki?

Wypiliśmy przy tym pierwszym czołgu nieźle, spełniliśmy kilka toastów, na zakąskę były sznycle z buhajką wypuszczonego ze dworu. Dzieńdzie uciekli.

I zaraz nazajutrz, z samego rana odbyło się zebranie wszystkich mieszkańców wsi. Dowiedzieliśmy się, że wszyscy bez wyjątku mężczyźni są członkami PPR, że komórka partyjna powstała tuż po powrocie Galickiego, że mieszkaliśmy w środowisku, o którym przed wojną mówili miejscowe władze, że „tylko spalił, zaorał, śladu nie zostawił”.

Nie wiem, czy było wówczas w czterdziestym drugim dużo wsi, w których działały komórki PPR. Sądzę, że raczej niewiele, a w każdym razie nie wiele takich, które by gremialnie, czynnie akceptowały i przyjęły za swój program Polskiej Partii Robotniczej.

Nie zapomnę tej wsi, ludzi, ich wyciągniętych rak, nie zapomnę towarzysza Stefana Galickiego.

Waldemar Babinicz

IGOR POSTUPALSKI

Arion

Gdy zginął w groźnych wodach [okręt,

a mnie na brzeg rzuciła fala, ach, nie suszyłem szaty mokrej i głośno pieśni nie spiewałem!

W milczeniu długi czas chodzę, patrzyłem w przestwór morza luty, marzyłem o rodzie nie milej i czulem tylko smutek, smutek...

Igor Postupalski, poeta rosyjski średniej generacji, tłumacz poezji francuskiej (Leconte de Lisle: „Z czterech ksiąg”, Moskwa 1960), pisze również i po polsku. W ub. miesiącu otrzymał wyróżnienie w Konkursie Ambasady Kubańskiej i „Nowej Kultury” za wiersz o Kubie.

Uratowanego od śmierci zbadali lekarze. Był cały, nie odniósł nawet najmniejszych obrażeń.

Z poczuciem nie tylko dobrze spełnionego obowiązku, ale i z dumą, że walka z koszmarem skończyła się zwycięstwem, udaliśmy się na zasłużony odpoczynek.

Ale przebudzenie nasze było niezwykle smutne. Dowiedzieliśmy się, że w dwie godziny potem ofiara wypadku nagle zmarła.

Powalił ją zapewne szok, jakiemu biedak uległ.

Piętnaście godzin ze straszliwym brzemieniem na piersiach, piętnaście godzin nieludzkiego napięcia nerwów, piętnaście godzin oczekiwania na osunięcie się bloku i straszliwą śmierć wskutek zmiażdżenia — wszystko to wyczerpało młodego i silnego człowieka. A potem wielka radość i nagle rozluźnienie napięcia.

(Dokończenie na str. 10)

RZESZÓW

PPR

na

Rzeszowszczyźnie

WSPOMNIENIA DZIAŁACZY

ANIELA CZECHOWA: Już w 1940 roku powstaje w okolicy Rzeszowa konspiracyjna organizacja wymierzona przeciw okupantowi.

Organizacja ta nosiła nazwę „Czyn chłopsko-robotniczy”, a jej organizatorami byli członkowie Komunistycznej Partii Polski, towarzysze: Andrzej Buda z Niechobrza, Teofil Witek i Władysław Paśko ze Związczy. Przypominam sobie, jak przychodzili do Rzeszowa, chodziło im o zreperowanie radia, chcieli mieć kontakty ze światem. „Czyn chłopsko-robotniczy” nie zdążył rozwinąć szerszej działalności, jego przywódcy (Witek, Paśko) wpadli w ręce gestapo. W roku 1941, gdzieś w grudniu, wrócił ze Związku Radzieckiego towarzysz Micał, „Gustek”. I on to właśnie, po porozumieniu się z byłymi członkami KPP — przystąpił do organizowania partii. W styczniu 42 roku, w moim mieszkaniu przy ulicy Chopina 62 w Rzeszowie odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne Polskiej Partii Robotniczej. W zebraniu tym wzięli udział towarzysze: Andrzej Buda, Anastazy Kowalczyk — „Nastek”, Augustyn Micał — „Gustek”, przedstawiciele obwodu krakowskiego, Władysław Kruczek, obecnie I sekretarz KW PZPR. Na zebraniu tym omówiono metody pracy organizacyjnej.

Postanowiono nawiązać kontakty przede wszystkim z byłymi działaczami KPP, przedstawicielami radykalnego odłamu SL, „Wici”. Chodziło tutaj o ludzi, którym bliskie były założenia ideowe partii i którzy mieli już pewne doświadczenie w pracy konspiracyjnej. Sekretarzem okręgu rzeszowskiego został towarzysz Władysław Kruczek.

Poważną rolę w oddziaływaniu na społeczeństwo odgrywał kolportaż prasy partyjnej. Na terenie powiatu rzeszowskiego, w Czudcu, mieściła się redakcja pisma okręgu rzeszowskiego. Wydawano pismo pt. „Jedność robotniczo-chłopska”. Spośród towarzyszy, którzy zajmowali się kolportażem prasy, przypominam sobie Józefa Sitka z Niechobrza, jego siostrę Wiktorię. Kolportażem zajmowałam się również sama. Pamiętam, był letni, upalny dzień. Trzeba było przenieść literaturę z Rzeszowa do siedziby okręgu, do domu towarzysza Franciszka Beresia w Trzebownisku. Podjęłam się dostarczenia tej bibuly, wychodząc z założenia, że kobiecie łatwiej będzie tego dokonać aniżeli mężczyźnie. Aby zamaskować materiał — włożyłam je do wózka, a na wierzch położyłam swego kilkunastoletniego synka. Kiedy wyjeżdżałam za miasto, na ulicy Marszałkowskiej — ujrzałam kilku gestapowców. Przeszukiwali oni każdego, kto wchodził bądź też wychodził z miasta. Mocno zdenerwowana — zaczęłam się zastanawiać, co robić: jechać dalej czy zawrócić. Ta ostatnia możliwość zwłaszcza była niebezpieczna, ale odrzuciłam ją, obawiając się, że z chwilą kiedy zawrócę, gdy stracę z oczu gestapowców — stracę panowanie nad sobą, zacznę biegać. Postanowiłam więc, że za wszelką cenę muszę się opanować i zupełnie spokojnie przejechać z wózkiem koło nich. Tak też zrobiłam. Wyjeżdżając całą siłą woli, z uśmiechem na ustach zbliżyłam się do gestapowców. Kiedy byłam już blisko — zaczęli ze mną rozmawiać, zatrzymali mnie na chwilę, wzięli dzieciaka, zaczęli do niego mówić. Powtarzam, że nie rozumieć co mówią, i wymownym gestem pokazywałam butelkę, że jadę po mleko na wieś. Przeżywałam tortury, bo zdawałam sobie sprawę, że gdyby któryś włożył rękę głębiej do wózka — to koniec ze mną i dzieckiem. Kiedyś byłam świadkiem jak wyprowadzają z getta Żydówkę — hitlerowiec roztrzaskał dziecku główkę na oczach matki. I zdawało mi się, że to może nastąpić w każdej chwili. Na szczęście gestapowcy, nie domyślając się niczego,

oddali mi dziecko i pozwolili mi odejść. Gazetki dotarły na miejsce przeznaczenia. Po powrocie do domu mocno się splakałam i postanowiłam, że już więcej dziecka nie będę narażać. Przenosiłam prasę partyjną, ale już bez synka. Ta literatura bardzo nam pomagała w pracy partyjnej. Odezwa, ulotka czy numer gazety były podawane z rąk do rąk, towarzysze przekazywali je naszym sympatykom. To trzeba wyraźnie powiedzieć, że partia pracowała w oparciu o szerokie rzesze sympatyków, którzy czy to pomagali ukryć towarzysza, czy używali lokalu na zebranie, czy ostrzegali nas w wypadku grożącego niebezpieczeństwa.

WŁADYSŁAW KRUCZEK: W pierwszym okresie PPR prowadziła działalność w oparciu o doświadczenia i tradycje KPP. Nawiązano kontakty z radykalnymi ludowcami. I trzeba po-

wiedzieć, że chyba nie ma drugiego takiego rejonu w kraju, gdzie by doszło do tak bliskiej, bezpośredniej współpracy pomiędzy Polską Partią Robotniczą a postępowym odłamek ruchu ludowego. Przykłady takiej współpracy możemy znaleźć w powiatach: debickim, gorlickim, tarnobrzeskim, niżańskim, kolbuszowskim. Jeżeli chcemy pokazać, w jaki sposób PPR oddziaływała na ruch ludowy — to musimy wspomnieć, że współpraca ta nierazko przynosiła w rezultacie wspólne akcje zbrojne GL i BCH. W debickim dowódcą Gwardii Ludowej był działacz SL, a późniejszy peperowiec, Piotr Chłędowski. Podobnie na Podkarpaciu Ludwik i Józef Dusza — Duma, przywódcy BCH, współdziałali z sekretarzem okręgu PPR Pawłem Karpem. W niżańskim dowódcą grupy BCH, Julian Kaczmarczyk ściśle współpracował z Gwardią Ludową. Czynny udział w kolportażu prasy PPR brał Michał Ostrowski, członek SL (obecnie przewodniczący WRN w Rzeszowie). Znany działacz ludowy, Józef Augustyn miał również bardzo bliskie kontakty z Gwardią Ludową. Przykłady te (oczywiście niepełne) ukazują, w jaki sposób partia oddziaływała w Rzeszowskim na szerokie kręgi chłopskie. Co jeszcze zbliżyło partię, jej program do mas chłopskich? Na Rzeszowszczyźnie, w tej Polsce B, szczególnie ciężkie były warunki życia na wsi. Głód ziemi, ol-

brzymie przeludnienie, dużo zbędnych rąk do pracy. Chłopi marzyli tu o tym, by zdobyć kawałek ziemi, na którym można by się zagospodarować. Nadzieja, że kiedyś ta ziemia obszarzyczna będzie podzielona i przejdzie na własność chłopu (i tak też się stało) — utworzyliśmy ok. 50 tys. nowych gospodarstw i dodatkowo nadzieliśmy ziemię najbiedniejszym — bardzo zbliżyła więc do partii.

LUDWIK SZENTORN: Aby działać skutecznie — należało wiedzieć, co zamierza wróg. W tym celu trzeba było przeniknąć w jego środowisko. Jeszcze na długo przed powstaniem Gwardii Ludowej partia skierowała mnie do takiej właśnie pracy do miejscowości Górno. Stała tam jednostka lotnicza, jej sztab, a niezależnie od tego była tam zakamuflowana placówka gestapo, która weszła po całym terenie. Ponieważ byłem z zawodu malarzem, a w Górnie prowadzono budowę wielkich baraków i pomieszczeń wojskowych — więc łatwo mi było tam się dostać. Stopniowo zyskałem sobie zaufanie Niemców, tak że zostałem służącym u generała. Trzeba się było odpowiednio zachowywać, ja przecież nie kończyłem żadnych kursów wywiadowczych — byłem więc zdany wyłącznie na własne wyczucie, intuicję. Postanowiłem, że będę udawał człowieka nienor-

(Dokończenie na str. 6)

Fot. Z. Postępski

R Z E S Z Ó W



W DOLINIE ŻÓŁTEGO SKARBU

STANISŁAW RAMS

STOIMY na górnym pokładzie gigantycznej koparki, niczym na dachu siedmiopiętrowej kamienicy. Stąd widać całą kopalnię: na kilometrowej przestrzeni maszyny rozdzielają gruby kożuch ziemi. Po żółtym dnie lażą leniwie czarne żuki ciągników, sypchaczy, tu i ówdzie porusza się drobna sylwetka robotnika.

Taśmociągi niosą w pośpiechu kęsy rudy w stronę stalowego kołosa — kruszarni. Na horyzoncie, wysoko ponad brzozy zagajnik, rośnie z każdą minutą sztuczna góra z ilów i piachu.

Włodzimierz Piwowar, młody inżynier, ubrany w ciepły waciaci i gumowe buty utyłane w błocie, opowiada o swoim życiu. Pochodzi z pobliskiej wioski. Kończył właśnie szkołę średnią, gdy czolowiki wszystkich dzienników w kraju rozkrzyczały się wielkimi czcionkami: Ogromne bogactwa siarki — najbogatsze w świecie!

Młody Piwowar nie wahał się długo nad wyborem kierunku studiów; wybrał Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie. Za jego przykładem poszła spora grupa kolegów.

Gdy w grudniu 1953 roku geolodzy pod kierownictwem prof. dr Stanisława Pawłowskiego rozpoczęli pierwsze wiercenia na polach Swiniar, Piaseczna, Machowa, Białej Góry, nikt nawet nie śnił, że przed bramą tej ubożuch-

nej ziemi niecierpliwie drepce nowa epoka. Tarnobrzeg, stolica piasecznej doliny leżącej w widłach Wisły i Sanu, od wieków czekał na swój wielki dzień. Pokrzywdzony przez historię, lekceważony przez współczesność, na próżno z roku na rok usiłował zasiąść przy samym stole inwestycyjnego budownictwa kluczowego przemysłu. Nikomu nie śpieszyło się lokalizować większej fabryki w tym pseudo-miasteczku.

Dopiero odkrycie siarki...

W ostatnich pięciu latach miasteczko rozrosło się więcej niż dwukrotnie. Dziś liczy osiem tysięcy mieszkańców. Pod koniec bieżącej pięcioletki nastąpi dalszy proces wzrostu; będzie tutaj zamieszkiwać piętnaście tysięcy osób. Plany docelowe przewidują, że Tarnobrzeg stanie się trzydziestotysięcznym, nowoczesnym urządzeniem urbanistycznym ośrodkiem.

Miasteczko nie miało wody, kanalizacji, gazu, bezpośredniej komunikacji kolejowej z Rzeszowem. Czterdzieści lat temu regionalny periodyk „Głos Ziemi Sandomierskiej” pisał: „Drogi pełne cuchnącego błota, bo pewna kategoria obywateli miasteczka Tarnobrzega, nie wiadomo na jakiej podstawie uważa, że drogi i rynsztoki, jak również place publiczne, służą po to, by wylewać na nie pomyje i wyrzucać śmiecie, stawiać sterty nawozu, o rzeczach bardziej drastycznych już nie mówiąc... Latarnie są w mieście. Każdy kto ciekaw może je przy świetle dziennym oglądać, w nocy przeważnie

nikną w ciemnościach. Te, gdy zapadną, Tarnobrzeg przybiera wielce romantyczny wygląd; po drogach snują się cienie ludzi zaopatrzone w jedną rękę w latarki, w drugiej — kostur pielgrzymi...”

Podobny felieton można było opublikować również w roku 1955. Dziś już tak pisać nie wolno, jeśli reporterowi zależy na prawdzie.

Tarnobrzeg roku 1961 — to poszerzone ulice, pokryte asfaltem i kostką, światło jarzeniowe, nowoczesna dzielnica, komfortowe mieszkania. Frontony kilkupiętrowych bloków mieniają się mozaiką pastelowych kolorów. Na dachach — anteny telewizyjne. Bezpośrednie połączenie autobusowe z Warszawą, Krakowem, Kielcami. Z Rzeszowem — kilkanaście razy w ciągu doby. W budowie jest linia kolejowa; połączy ona najkrótszą drogą Tarnobrzeg z wojewódzkim centrum.

Trzy tysiące osób znalazło pracę w kopalni Piaseczno, w kombinacie przetwórczym siarki w Machowie, w pomocniczych przedsiębiorstwach. W bliskiej perspektywie liczba zatrudnionych ulegnie podwojeniu.

Tarnobrzeckie zagłębie przemysłowe: automatyzacja procesów przetwórczych, wysoki stopień mechanizacji robót. Człowiek bez wykształcenia czuje się wśród tych gigantycznych maszyn — mały, śmieszny, niepotrzebny. Robotników fizycznych zastępuje maszyna.

(Dokończenie na str. 8)

PPR na Rzeszowszczyźnie

(Dokończenie ze str. 5)

malnego, upośledzonego. Kaleczyłem więc język niemiecki, chodziłem zawsze brudny, obdarty. Niemcy popychali mnie, śmiali się i równocześnie przestali się mną interesować, tak że wchodziłem do gabinetu generała w czasie posiedzeń sztabu, wytarłem mu buty, wypróbowałem popielniczki, a równocześnie pilnie patrzyłem i słuchałem, co się robi, mówi, co zaznacza na mapach. Niezależnie od tego dotarłem również do szefa komórki gestapo. Tam orientowałem się, czy gestapo dysponuje jakimiś wiadomościami o naszych ludziach. Jeśli takie materiały były — szybko ostrzegałem towarzyszy. Miałem bowiem stały kontakt z oddziałem „Iskra”. W lutym 1943 roku musiałem teren Górna opuścić, przetrząsnąłem więc w zupełności inne strony.

MIECZYSLAW KACZOR: W powiecie przeworskim — rozbawionym wiejskich lasów — działały grupy GL, AL, tzw. garnizonowo-wypadowe. Nasza działalność koncentrowała się wokół węzła kolejowego, jaki posiada Przeworsk. Kilku naszych towarzyszy pracowało na kolei (towarzysz Nowakowski, Janiszewski, Tereszkiwicz). Towarzysze ci zajmowali się zbieraniem informacji o ruchu pociągów wojskowych. Wiadomości te przekazywane były do oddziałów partyzanckich AL w lasach Lubelszczyzny.

Kontakt utrzymywany był za pośrednictwem towarzysza Michała Korgi z powiatu tarnobrzaskiego, który miał bezpośrednią łączność z partyzantami AL w lasach sołso-janowskich. Na stacji w Przeworsku znał dowódcę wielki magazyn ze sprzętem saperskim. Były tam mundury, obuwie, skóra, oleje i wiele różnych materiałów przeznaczonych dla wojsk, operujących na froncie wschodnim. Grupa nasza postanowiła spalić ten magazyn. Członkowie jej (zatrudnieni jako robotnicy w magazynie) zrobili to w następujący sposób. Wychodząc z pracy zapakowali w puszkę po konserwie pewną ilość konopi, natłuszcili je i podpalili. To się tliło, tliło, aż wybuchł z tego ogromny pożar. Niemcy ponieśli olbrzymie, milionowe straty.

EDWARD CYRAN: Kierownictwo okręgu rzeszowsko-tarnobrzaskiego z towarzyszem Augustynem Micałem („Gustkiem”) i Stanisławem Szybistym („Stefan”) postanowiło przeprowadzić akcję w celu zdobycia pieniędzy, które były nam niezbędnie potrzebne dla rozwijania akcji zbrojnej. Ustalono, że należy przeprowadzić akcję na kasę „Społem” w Rzeszowie. Rozpracowanie obiektu zlecono towarzyszowi Józefowi Ustrzyckiemu. Blisko półtora miesiąca „rozgrzyzał” on organizację pracy w kasie, ilość zatrudnionych pracowników, folksońców, tryb pracy, rozkład budynku itp.

Ustrzycki ustalił, że najlepiej dokonać wypadu w dni targowe, kiedy to jest największy utarg. Wszystkie sklepy na terenie Rzeszowa przekazywały utarg do godziny czternastej do kasy. Następnie kasjer sporządzał raport i zamykał kasę. Zapadła ostateczna decyzja, że akcja przeprowadzona zostanie w określony piątek (styczeń lub luty 1943). Wzięła w niej udział około 15-osobowa grupa GL. Obstawili oni w oznaczonym dniu wyloty wszystkich uliczek prowadzących do kasy, a wyznaczona z góry czwórka weszła do banku. Wszystko poszło zgodnie

MOŻNA przypuszczać, że tytuł tego artykułu niejednemu czytelnikowi nasunie szereg wątpliwości. Rozpowszechniło się bowiem mniemanie, że awansowana w r. 1944 do rangi województwa Rzeszowszczyzna nie posiada w wielu dziedzinach tradycji złożonej ze zjawisk wybitnych, interesujących, dynamicznych. Ta jednostronna i nieuzasadniona ocena dotyczy również teatru. Kilkakrotnie już mieliśmy okazję czytać w prasie miejscowej i ogólnopolskiej rozważania zaczynające się od słów: „Rzeszów nigdy nie miał tradycji teatralnej...”. Nieco korzystniejszą pozycję w szerokiej opinii zajmuje pod tym względem Przemyśl, ponieważ częściej spotkać się można z uznaniem dla przemyskiego „Fredreum”, jednego z najstarszych zespołów ochotniczych nie tylko w Polsce, ale i w Europie, który tyle pięknych kart zapisał w historii ruchu amatorskiego.

Tymczasem fakty i dokumenty świadczą dobitnie o tym, że tradycje teatralne Ziemi Rzeszowskiej, choć mało dotąd znane, należą do foedziałów wyjątkowo cennych i interesujących, zwłaszcza gdy idzie o dzieje ruchu amatorskiego. Stąd przecież, z Krosna, pochodzi najstarszy siedemnastowieczny tekst jasełek. Stąd także, z podkarpackich miasteczek i wsi, w większości wywodzą się plebejska komedia rybałtowska. Zwrócił na to uwagę dr Czesław Hernas, że rozsiane w tekstach rybałtowskich minucji, dialogów, czy utworów przeznaczonych do grania, nazwy miejscowe nawiązują wprost lub bezpośrednio do terytorium pomiędzy Dębicą, Jasłem i Krosnem. I chociaż już w połowie siedemnastego wieku twórczość parafialnych bakalarzy i wędrownych wesołków wygasa, echa jej znaleźć można w opowieściach i facecjach ludowych, które przekazywane z pokolenia w pokolenie przetrwały do naszych czasów.

Nie jest rzeczą przypadkiem, że Leon Schiller układając swoją słynną „Pastorałkę” oparł się na fragmencie starożytnego dramatu znanego przez Aleksandra Salonięgo w Przeworsku. Podobnych przykładów znalazłoby się więcej. Niejednokrotnie, przy różnych okazjach odkrywano skarby zawarte w rzeszowskich pieśniach i tańcach ludowych, w przysłowiach i bajkach. Folklor rzeszowski wzbogacił programy „Mazowsza”, urozmaicił „Wieść malowaną” Wojciecha Siemiona. Do rzeszowskich motywów sięgnął Witold Lutosławski, by w „Małej suicie” nadać nowy kształt artystyczny melodiom zespołu regionalnego z Machowa. Nieprzypadkowo również na liście założycieli Związku Teatrów i Chórów Włościańskich, który powstał w roku 1907, obok podpisów Tadeusza Pawlikowskiego i Wandy Si maszkowej — widniały nazwiska dwu dzia-

z planem. Kasjer właśnie kończył obliczanie dziennego wpiwu: wyrzuciliśmy go, układając pieniądze (ładnie przez niego posortowane) do dwu teczek. Przecięte przez nas kable uniemożliwiły podjęcie jakiegos alarmu. Natychmiast opuściliśmy bank. Na bocznej uliczce stały przygotowane dla nas rowery. Wsiadliśmy na nie i błyskawicznie skierowaliśmy się w kierunku Staromieścia. Ocalili nas rowery. Zaledwie odjechaliśmy, Niemcy zamknęli wyloty wszystkich ulic. Gdybyśmy się troszeczkę spóźnili — wszystko by przepadło. Nasza kasa została poważnie zasilona. Lupem naszym padło około 150 tys. zł. Była to jedna z najbardziej udanych akcji, nie padł w niej ani jeden strzał.

Zanotował
Zbigniew Wawszczak

RZESZOWSKIE TRADYCJE TEATRALNE (1)

JERZY PLEŚNIAROWICZ

laczy z terenu dzisiejszego województwa rzeszowskiego: Antoniego Brzozy i Adama Piątka. Od początku zresztą udział wsi rzeszowskiej w ruchu tym musiał być niemały, jeśli tyle listów od tutejszych korespondentów otrzymywał „Poradnik Teatrów i Chórów Włościańskich”, a później — „Teatr Ludowy”.

Już pod koniec ubiegłego stulecia, kiedy na wsi nie znano jeszcze przedstawień w formie zorganizowanej, ożywionej działalności teatralnej inicjowały zespoły grupujące młodzież chłopską w powiecie brzozowskim i sanockim. W roku 1883 we Wzdowie koło Brzozowa (obecnie siedziba Uniwersytetu Ludowego Związku Młodzieży Wiejskiej) Adam Froń (1867—1945), zasłużony pionier kultury teatralnej i muzycznej, wówczas uczeń gimnazjum, stworzył zespół złożony z kolegów szkolnych oraz dziewcząt wiejskich ze Wzdowa i sąsiedźkiej Jasionowa. Odegrano „Flisaków” Anczyca, a w następnym roku — „Gwiazdę Syberii” Starzyńskiego i „Karpaczkich górall” Korzeniowskiego. Za przykładem Wzdowa poszły inne wsie i wkrótce rozpoczęły pracę nowe kółka teatralne w Jaćmierzu, Bażanówce i Haczowie.

Do dalszego rozwoju teatru ochotniczego w Rzeszowskim w znacznej mierze przyczyniają się liczne pod koniec dziewiętnastego wieku obchody narodowe: Stulecie Konstytucji Majeowej, Rok 1894 zwany „Rokiem Kościuszkowskim”, stulecie urodzin Mickiewicza. Uroczystości te organizowane w Galicji potęgują wśród chłopów patriotyzm budząc równocześnie świadomość społeczną. Aby zobrazować atmosferę tych czasów na Podkarpaciu, przytoczmy wspomnienie prof. Eugeniusza Kucharskiego z dzieciństwa spędzonego w Krośnińskim:

„Było to w roku 1891. Po całym powiecie zawiązały się komitety ludowe i krążyły listy składkowe na pomnik Naczelnika, który po żniwach miał być odsłonięty pod zameczkiem w Odrzyńskim. Wszędzie wrzało od przygotowań do tej wielkiej uroczystości narodowej. Robotnicy z kopalni naftowych w Równem, Wietrznie i Bóbrce mieli wystawić scenę kucia kos z „Kościuszki pod Racławicami” Anczyca, a robotnicy ci to byli młodzi gospodarze lub synowie gospodarzy z wsi miejscowych lub przyległych, z Wrocanki, Niżnej Łąki, Zręcina, Kobylan czy Sulistrowej. Na próby zbierali się po wieczornym otrąbieniu dźwięki w pustej fabryce wtedy blacharni fabrycznej w Równem. O ile mnie pamięć nie zawodzi, przedstawienie to nie doszło do skutku, czy to zabronione przez władzę administracyjną, czy też nie mogło się pomieścić w ramach uroczystości odrykańskich, na których zresztą nie byłem. Ale te próby! Powaga, z jaką zabierali się do rzeczy, podniosłe, prawie nabożne skupienie, z jakim wygłaszali i śpiewali słowa tekstu, rytmiczne kucie młotów o stal — wszystko to, o zmroku, przy chwiejnym świetle gazowego płomienia sprawiło nieopisane wrażenie jakiegos wzniosłego, pełnego uniesienia obrzędu”.

Na uwagę zasługują z pewnością pierwsze w Polsce masowe widowiska plenerowe przygotowane przez chłopów tarnobrzaskich. Dwukrotnie, bo w roku 1898 z okazji powiatowej uroczystości pięćdziesięciolecia zniesienia pańszczyzny i w roku 1904, kiedy odbyło się odsłonięcie pomnika Bartosza Głowackiego, na błoniach dzikowskich z rozmachem inscenizacyjnym odtworzono bitwę racławicką. W widowisku reżyserowanym przez Wojciecha Włocka, który odtwarzał także postać Kościuszki — udział wzięło ponad tysiąc umundurowanych chłopów. To niezwykle przedstawienie „teatru ogromnego” podziwiali wielotysięczne rzesze widzów z Galicji i zza kordonu. (Z. Kwieciński: Teatr ochotniczy).

Nie wszędzie jednak inicjatywy teatralne mogły liczyć na powodzenie. Chociaż wieś małopolska w okresie popańszczyźnianym dość szybko wkroczyła na drogę samodzielnej pracy społecznej, zespoły ludowe niejednokrotnie zwalczać musiały opory środowiska, podsypane przez ciemnotę i zabobony. Charakterystyczny wypadek opłuje na kartach wydanej przez

dr Zygmunta Gargasa książki „Teatry chłopskie w Galicji” — Antoni Smagała: W Trzećlanie (pow. rzeszowski) przygotowywano anancywskich „Chłopów arystokratów” i „Błażka opętanego”. Część ludności odniosła się do tego poczynania nieufnie, rozpowieszając plotki, że aktorzy „będą się przebierać za coś niepodobnego”. Konflikt przybrał na sile, gdy w dniu premiery piorun uderzył w dom pewnego gospodarza. Uznano bowiem, że jest to „kara za zbytki”.

Znaleźli się nawet tacy, co wołali: „komiędzy do ognia”. Allicci — jak wspomina Antoni Smagała — w kilka godzin po ugaszeniu pożaru przedstawienie odbyło się normalnie, „sala była pełna gości, a publiczność bawiła się doskonale”.

Charakterystyczne, że przed pierwszą wojną światową wielki repertuar na scenach amatorskich pojawia się najczęściej w obrębie dzisiejszego województwa rzeszowskiego. Z kronikarskiej wzmianki odnotowują wiadomości o przedstawieniach złożonych z fragmentów „Dziadów”, czy „Wesela”. Młodzież ze Wzdowa i Jasionowa idąc za przykładem pionierów inicjujących chłopski ruch teatralny w roku 1881 w dziesięć lat po krakowskiej premierze dramatu Wyspiańskiego (1901) wystawiła „Wesele” w całości. Podobnie w latach międzywojennych teatr prowadzony przez Koło Związku Młodzieży Wiejskiej z Markowej, dał cykl ambitnych, niezwykle starannie przygotowanych przedstawień sięgając po „Chłopów” Reymonta obok „Zbójców” Schillera, po „Turonia” Żeromskiego obok „Zaczarowanego koła” Rydla.

Za najpoważniejsze jednak osiągnięcie teatru w Markowej uznać należy „Kordiana i chłama” — inscenizację powieści, zrealizowaną w 1937 roku. Z dumą opowiadają dziś jeszcze markowiczanie o tym, że w przedstawieniu, jakie odegrali dla robotników Przemysła, uczestniczył Leon Kruczkowski. Reportaż autora zatytułowany „Na próbie” upamiętnił spotkanie pisarza rewolucyjnego z rzeszowskimi chłopami.

Deczyńskiego — snuje wspomnienia ówczesny przewodniczący Koła Młodzieży i jeden z aktorów tego historycznego przedstawienia, Franciszek Homa — grał Tadeusz Rut, Derkacz — Józef Grad, dziedzica Czastkowskiego — Mieczysław Flejszar. On również wraz z Antonim Dźwierzynskim zajmował się reżyserią. Musiała to być wyjątkowo interesująca placówka, skoro po obejrzeniu „Turonia” Żeromskiego w Markowej Wojciech Skuza pisał: „To poziom najwyższy i gry aktorów i reżyserii. Byłem przecież na „Turoni” w Ate-neum w Warszawie, lecz poza grą Jariego Jaracza, niczym więcej ta sztuka nie stała niż w Markowej. Nawet niektóre sceny zbiorowe mocniej wypadły. Czuło było, że aktorzy żyją własną grą”. („Wieść tworząca”).

W Polsce Ludowej, w warunkach sprzyjających działalności kulturalnej, każdy niemal rok przynosił rzeszowskim zespołom — wiejskim, robotniczym, szkolnym — cenne sukcesy podczas krajowych przeglądów, konkursów, festiwali. Rzeszowskie melodie, pieśni i tańce zawiozła młodzież z Suchodołu, Krosna i Glinika Zaborowskiego do Moskwy, Pragi, Berlina, do miast północnej Francji. Ponad czterysta amatorskich zespołów teatralnych przygotowuje w mieście i na wsi premiery dla swoich środowisk. Już nie tylko Rzeszów i Przemyśl, nie tylko Stalowa Wola i Krosno ale również Szalowa (pow. gorlicki), gdzie od lat kieruje sceną amatorską Tadeusz Pater, scena, która z powodzeniem gra Mollera i Fredrę, Szaniawskiego i Korcego — stały się ośrodkami kultury teatralnej promieniującymi szeroko na nową widownię.

Przed rokiem zorganizowana przez Wojewódzki Zarząd Związku Teatrów i Chórów Ludowych wystawa zobra-zowała drogę, jaką przebyły zespoły teatralne od powstania Przemyskiego Towarzystwa Dramatycznego (1878) i pierwszych przedstawień chłopskich w powiecie brzozowskim do naszych



BIESZCZADY — RZEPEDZ

Fot. Z. Postępski

Święci od rzeczy

*
*
*
JAN GRYGIEL

Słoneczne przedpołudnie. Z okien wibrujące struny światła, jasne jak koloratura sopranu. Z ich skrzyżowań wykwita radość nieduża. Synek łowi ją w lusterko i płochliwym zajęczkiem rozprowadza po ścianach.

I jeszcze fontanny muzyki — Kaczące mrużą oczy pod strugami dźwięków. To z głośnika wytryskują tony Mozartowskiej „Eine kleine Nachtmusik”.

Mała nočna muzyka ale wystarcza, by świat stał się większy. W szyby biją rozkołysane serca dzwonów. Fokój pęcznieje pod naporem wrastającej radości. Już jej nie zamkniesz w płytce zwierciadła. Patrz, synku — zarysowują się ślany — wzdyma sufit... Może za chwilę uleciny do siódmego nieba?...

Jaka szkoda, że nie ma Mefista. Zawolałbym — „chwilo, trwaj!”

CZESŁAW PIOTR
KONDRACIUK

Pęknięcie nocy

Pęcznieje mrok kureczy się galaktyka ostrze światła podcina cień i misę mroku podnosi ku górze pęka noc pod naciskiem nowego dnia krzykiem przerywa ciszę potem umiera w potężnej kaluży krwi na trawie miękoce rosa — nocy malutkie by.

LUDOMIR MAZELA

Krople ciszy

Zamknąć się w kropli ciszy jak owad we łzie żywicy sprzed tysiąca lat —

zamknąć się w ciszy i przetrwać przeczekać — wicher pogardy wzburzony świat.

Ale serce nie ucichnie, nie zapomni — myśl nie zaśnie

A w drzeniu ziemi, w krzyku nieba mój płacz się wypali krzyk zagaśnie.

EDWARD ZOŁOWSKI

L i ś c

Wiem, że to jest cząstka [drzewa, że to instrument wiatru i że w maju radośnie śpiewa.

Wiem, że to zwierciadko wieczornych tancerek gwiazd i że to dłoń wystygła i zmierzchu pachnący ślad.

Wiem, że to cząstka lata, kształt ust z resztką czerwieni, że to list z żółtki z żalu z zapowiedzią nadchodzącej jesieni.

(Dokończenie ze str. 6)

czasów. Warto podkreślić, że są wśród nich takie, które ponad pół wieku rozwijają piękną i pożyteczną pracę. Założony w roku 1912 zespół regionalny w Luźnej pod kierownictwem Anny Leśkiewicz i Maril Mikoń, czy mający za sobą 150 premier Teatr i Chór Ludowy z Bóbrki (pow. Krosno), prowadzony przez Antoniego Kurka, haczwoscy entuzjaści folkloru, którym od 50 lat przewodzi Stanisław Wysocki — oto nieodrodnione przykłady tradycji żywej, tradycji która swą obecnością nieustannie umacnia nasz ruch amatorski doświadczeniem, zapala żarliwością, uczy wytrwałej rzetelnej roboty.

Jerzy Pleśniarowicz

JERZY WALAWSKI

Gwiazda

kiedyś lejące plaki nie wróca do gniazd drobne nikle iskiereki zgasną w powietrzu wyparują roztopione lodowce i skały

w chwilę zmierzonej wielkim blaskiem polecą księżyc w przestrzeń strącony z pękniętej orbity

i jeszcze jedną spadającą gwiazdę zobaczy dziecko nieziemskie z odległej planety

ZDZISŁAW OSTROWSKI

Przedsionki smutku

Promienie — dziecinną [grzechotka świetlówka w mroku złudzenie dnia, a to tak jak brzemieć niezmiernie do dźwignia na dloni dziecka, a to tak jak jego pierwszy krok. Promienie wkładane w zaciśnięte piąstki przedsionki smutku, a to tak jak strużki krwi płynące po cichutku.

WIESŁAW KULIKOWSKI

M a l w y

W pewnej wsi białoruskiej dużo malw jak warkoczy Pamiętam ciebie wiosko, jakiś dom i ogród — i dyszące miłością serca kilku harmonii i jak rzucano gąski z weselnych stołów.

Pamiętam jak panna młoda żegnała się z matką, jak lzy ciężkie leciały po lekkim welonie — i jak mi smakowały gąski kołaczki, jak rżały na podwórku gniade, mądre konie. Orkiestra grała polki. Młodzień wiaż tańczyli, babie śpiewały pieśni piękne, bardzo stare... Później wszyscy spali w dużej izbie pijanli... A za oknem otwartym czuwały tylko malwy. Ale już nie było ani słów, ani muzyki. Było cicho, jakby umarł mój przyjaciel...

WINCENTY ZAWIRSKI

Rynek
rzeszowskiego
miasteczka

z historią byli tu na bakier ni ostrołków i podsieni ani księżyc, który w studni badałby nocą środek ziemi

tylko plotkarek nudne bajki o tym co w garnkach i sienniku topiły szepty w głębi ulic gdzie jeszcze wrzeszczą kocie lby

gdzie czasem ktoś tu z Kuryłówki wieści rozkładał niby towar to pachniał rynek wielkim światłem i znów miał temat do plotkowania

Iecz oto księżyc z metafory usiadł na rynku w kręgu latarni a ludzie... a ludzie z ręką na obłoku uczą się z światła łowić sny.

INFORMACJE O AUTORACH

Jan Grygiel — nauczyciel literatury polskiej w Studium Nauczycielskim w Rzeszowie. Poeta i publicysta. Debiutował w prasie krakowskiej w 1952 r. Dotąd publikował wiersze m. in. w „Zyciu Literackim”, „Orce”, „Współczesności”, „Nowej Wsi”, oraz w „Zarzewiu”.

Czesław Piotr Kondraciuk — pracuje jako bibliotekarz. Debiutował na łamach „Nowin Rzeszowskich”. Drukuje wiersze w „Zarzewiu”, „Głosie Młodzieży Wiejskiej”, w „Więściach” i „Nowej Wsi”.

Wiesław Kulikowski — słuchacz Studium Nauczycielskiego w Rzeszowie. Debiutował w „Kamieniu”. Publikuje wiersze w „Nowinach Rzeszowskich”, „Orce”, „Zarzewiu” i „Nowej Wsi”.

Ludomir Mazela — nauczyciel. Debiut poetycki w „Nowinach Rzeszowskich”. Drukuje między innymi w „Almanachu Młodych” wydanym przez Iskry w 1960 r.

Zdzisław Ostrowski — artysta plastyk. Publikował wiersze w „Współczesności”, „Nowej Wsi” i „Nowinach Rzeszowskich”.

Tadeusz Piekło — publikuje wiersze od kilku lat w czasopiśmie „Nowa Wieś”, „Zarzewie”, „Orka”, w czasopiśmie wojewódzkim „Nowinach Rzeszowskich”.

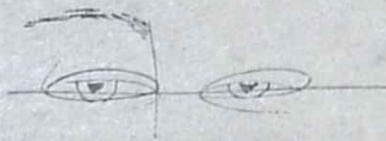
Jerzy Walawski — poeta i publicysta. Obecnie pracuje jako dziennikarz w „Dzien-

niku Polskim”. Drukuje wiersze w „Almanachu Młodych”, „Iskier” oraz w „Zyciu Literackim”, „Współczesności”, „Trybunie Literackiej”, „Nowej Wsi” i innych czasopiśmie.

Wincenty Zawirski — aktor Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Jako poeta zadebiutował w „Nowinach Rzeszowskich”. Drukuje w „Zyciu Literackim”, „Współczesności”, „Nowej Wsi” i in.

Edward Zołowski — publikuje wiersze w „Więściach”, „Nowej Wsi”, „Głosie Młodzieży Wiejskiej” i w „Nowinach Rzeszowskich”.

Większość wierszy opublikowanych w Kolumbie poetów rzeszowskich pochodzi z tomu „Rzeszowski almanach poezji”, który ukazuje się jeszcze w br.

ROK ZIEMI
RZESZOWSKIEJ

DRUGI rok uroczystości Tysiąclecia Państwa Polskiego obchodzone na Rzeszowszczyźnie jako Rok Ziemi Rzeszowskiej pod patronatem Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Rzeszowie.

Z tej okazji Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej ogłosiło w lutym 1961 roku trzy konkursy: literacki na wielki utwór prozą o tematyce współczesnej związanej z województwem rzeszowskim, plastyczny pod hasłem: „Ziemia Rzeszowska w minionym szesnastolecu”, fotograficzny pt.: „Stare i nowe oblicze Ziemi Rzeszowskiej w fotografii”.

W konkursie literackim (rozstrzygnięty 12 września) drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) w wysokości 6000 zł otrzymał Julian Kawalec, w konkursie plastycznym (10 listopada) drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) w wysokości 4000 zł zdobył Marian Ziemiński, w konkursie fotograficznym (23 lipca) pierwszą nagrodę oraz specjalne wyróżnienie o łącznej wysokości 3500 zł otrzymał Międzywład Staszewski.

Równocześnie kontynuowano II etap „Konkursu na pamiętkarstwo ludowe i artystyczne Ziemi Rzeszowskiej”, który zapoczątkowano jeszcze w 1960 r. Przewidziana jest wystawa nadesłanych projektów pamiętek.

Zabiegając o szerokie propagowanie akcji Roku Ziemi Rzeszowskiej dekorowano miasta, wydano wiele okolicznościowych plakatów, afiszów z programami imprez, gazetki i jednodziówek, folderów, napepek, kopert z nadrukami, okoliczności-

wych stempli filatelistycznych itp. Najokazalej uświetniono obchody Tysiąclecia w Przemyślu, Jarosławiu, Gorlicach, Kolbuszowej i Rzeszowie.

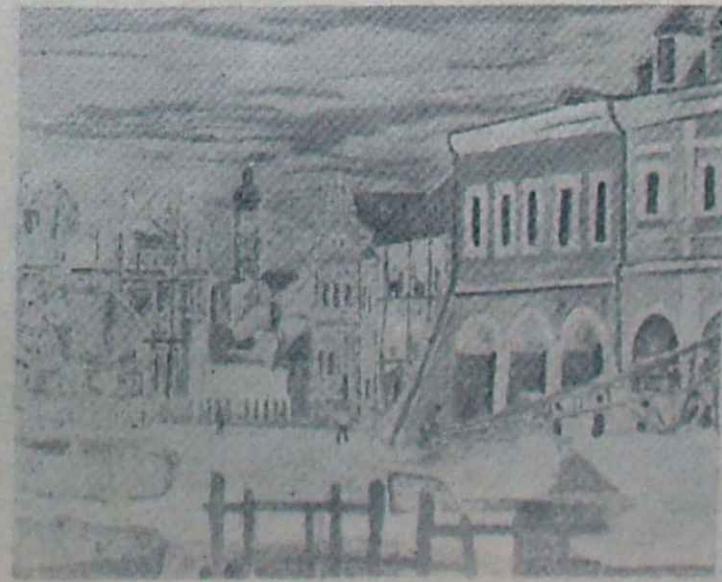
Największe nasilenie wydarzeń i imprez przypadło na czerwiec. W tym miesiącu zorganizowano w Rzeszowie Zjazd Pisarzy i Naukowców, pochodzących z Rzeszowszczyzny lub piszących o jej problemach, Zjazd Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, odbyły się Spotkania Teatralne z udziałem ośmiu zaproszonych teatrów: Słowackiego, Osterwy, Modrzejewskiej, Rozmaitości, Zeromskiego, STS-u, Solskiego, Ludowego. W zamku lańcuckim przygotowano Dni Muzyki Kameralnej goszcząc zespoły i solistów z Krakowa, Łodzi i Warszawy.

W dniu Święta Odrodzenia Polski otwarto wystawę zatytułowaną „Od reformy rol-

nej do kombinatu siarkowego”, obrazująca dorobek siedemnastolecia władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie. Ponadto przygotowano pokonkursową wystawę fotograficzną (Rzeszów, październik), wystawę mebli ludowych województwa rzeszowskiego (Łańcut — Zamek, październik — listopad), wystawę kafli zabytkowych województwa rzeszowskiego (Muzeum w Jarosławiu, październik — listopad).

W lutym przygotowano w Łańcucie ogólnopolską sesję publicystów zajmujących się problematyką społeczno-kulturalną. Z końcem kwietnia goszczono grupę warszawskich literatów. W czerwcu podejmowano na Rzeszowszczyźnie przedstawicieli kierowniczej kadry kulturalno-oświatowej z terenu całego kraju, we wrześniu trwał

(Dokończenie na str. 8)

TADEUSZ KOZIOL — KONSERWACJA ZABYTEKÓW
W JAROSŁAWIU
(Wzrostnienie na tegorocznym konkursie plastycznym)



BIESZCZADY

W dolinie żółtego skarbu

(Dokończenie ze str. 5)

Tu potrzeba przede wszystkim inżynierów, techników, ekonomistów, ludzi z wyższym i średnim wykształceniem. Już teraz pracuje w machowskim kombinacie kilkuset inżynierów. Młodzi i starzy uczą się na zaocznych wyższych studiach, dokształcają w szkołach wieczorowych, uniwersytetach robotniczych, kursach, wyjeżdżają po wiedzę praktyczną do Czechosłowacji, Niemiec, Włoch, Związku Radzieckiego. W ciągu jedenastu miesięcy bieżącego roku ponad pół tysiąca pracowników zdobyło zawód elektryków, spawaczy, tokarzy, mechaników, flotatorów...

W pięcioletnim okresie wzrosły dochody ludności o siedemdziesiąt procent. Pod koniec bieżącej pięcioletki dochód ludności tarnobrzeskiej w przeliczeniu na jednego mieszkańca gwałtownie wzrosł i osiągnął przeciętną sumę 7800 złotych.

NACZELNY dyrektor kombinatu siarkowego w Machowie — inż. Janusz Gadomski nie okazuje entuzjazmu na widok reportera. W ubiegłych dziesięciu miesiącach zawiązało w jego progach w sumie 460 dziennikarzy z całego kraju. Każdy z nich miał ambicję poznać wszystkie tajniki siarkowego zagłębia i w związku z tym oblegał dyrekcję przynajmniej przez dwa dni. Poza tym gościło tutaj ponad 16 tysięcy różnych przedstawicieli, wycieczkowiczów, inspektorów, kontrolerów. Nic dziwnego, że na widok jeszcze jednego reportera fajansowa fajeczka inżyniera Gadomskiego pyka w tempie nieco szybszym niż zwykle.

Po pewnej rozwadze dyrektor dopuszcza możliwość koegzystencji braci dziennikarskiej ze światem pracy; fajeczka zaczyna pykać normalnym rytmem. Pióro reportera skrzypli nie mogąc nadążyć za potokiem cyfr, procentów, danych statystycznych.

A więc: kopalnia w Piasecznie w ciągu jedenastu miesięcy wykonała roczny plan. Wydobyla ponad milion ton rudy siarkowej. W pięcioletce plan wydobycia wzrosł trzykrotnie. W przyszłym roku rozpocznie się budowę drugiej kopalni w Machowie.

Kombinat przetworczy wyprodukował w ciągu jedenastu miesięcy blisko sto tysięcy ton siarki. Trzy lata temu importowaliśmy ten surowiec z zagranicy w ilości 25 tysięcy ton. Za każdą tonę płaciłszy 55 dolarów.

Pod koniec 1965 roku, gdy wytworzyliśmy czterysta tysięcy ton żółtego produktu, znaleźliśmy się prawdopodobnie na czwartym miejscu siarkowych potęg świata. W tym roku nasz kraj zdobył pod względem wysokości produkcji siarki — szóste miejsce. Do następnej „Barburki” prześcignięmy Włochy, a

za pięć lat Francję. Nie tak dawno zajmowaliśmy mało zaszczytne miejsce — gdzieś na szarym końcu światowej tabeli.

Ziemia tarnobrzeska kryje ogromne zapasy żółtego bogactwa. Pierwsze rozpoznanie geologiczne stawiało nas na drugim miejscu w świecie. Najnowsze obliczenia każą przypuszczać, że zagłębie tarnobrzeskie ma prawo ubiegać się o palmę pierwszeństwa.

Żyjemy w epoce gwałtownego rozwoju przemysłu chemicznego. Nietrudno wysnuć wnioski na temat perspektyw tego najuboższego niegdyś powiatu w województwie.

Fajeczka inż. Gadomskiego zaczęła wygasać:

— Za dużo będzie w tym reportażu cyfr — pada fachowa uwaga. — Czytelnika cyfry nużą, chociaż dla fachowców brzmią jak melodia. Z pewnością teraz redaktor będzie chciał prosić o przewodnika, aby zobaczyć nasze królestwo.

— Owszem, bardzo proszę. Poza tym brakuje mi tutaj jeszcze jednej cyfry: ile wyniesie wartość produkcji towarowej kombinatu w ostatnim roku pięcioletki?

— Prawda, zapomniałem o tym, że przecież każdy reporter nie ominie podobnego pytania — dziwi się dyrektor swemu roztargnieniu. — Proszę pisać: w bieżącym roku wartość produkcji towarowej naszego zakładu wyniosła trzysta milionów złotych. W 1965 roku ta suma wzrosła o jeden miliard. W planie perspektywicznym... Nie, nie piszcie o tym. To odległa perspektywa, suma zbyt wielka. Czytelnicy mogą wątpić...

PRZEWODNIK bacznie przyjrzał się mojej postaci, zatrzymał chwilę wzrok na reporterskim notesie i orzekł:

— Niestety, ale redaktor nie będzie miał ze mnie zbyt wielkiej pociechy. Mam strasznie nietypowy życiorys, nie nadaję się na bohatera reportażu. Po co więc panu moje nazwisko? No, dobrze, proszę więc w ten sposób zacząć artykuł: kroczymy razem z przewodnikiem po wielkim placu budowy. Na ogromnym obszarze — potężne kontury fabrycznych gmachów. Przewodnik nazywa się Marian Pacuła, pracuje w dziale planowania ogólnego, nie ma dyplomu inżyniera, mieszkania też nie ma i dojeżdża 25 kilometrów z Gorzyc. Zonaty i dzieciaty. I żeby reportaż nie był zbyt pesymistyczny, należy tutaj dodać, że przydział na mieszkanie w Tarnobrzegu mam już w kieszeni. Zarobki dobre, samopoczucie jeszcze lepsze, telewizor kupiłem za gotówkę, a nie na raty, pochodzę z Kielecczyny i to już chyba wszystko. A teraz przejdźmy do spraw zasadniczych.

W tym olbrzymim gmachu, gdzie tak piekielnie huzy, bulgocze, dudni i cuchnie, pracuje oddział flotacji siarki. Ten oddział — jak dotąd — jest wąskim gardłem ogólnej produkcji i dlatego w pięcioletce pozwolimy sobie na wybudowanie jeszcze jednego tego rodzaju gmachu.

Pracowników tak mało się tutaj kręci nie dlatego, że wczoraj była u nas „Barburka”, ale dlatego, że oddział flotacji jest zautomatyzowany. Za ludzi pracują maszyny: oczyszczają rudę. Niech redaktor nie opisuje całego procesu technologicznego, bo i tak nie zmieści się wszystko w artykule, a jeśli się zmieści, to artykuł skróci i rezultat będzie ten sam.

Proszę: w tym zaś gmachu pracuje oddział rafinacji siarki: tutaj oczyszczona nieco siarka — w postaci pulpy — wpada do wielkich wirówek, zostaje odwodniona; oddział filtrów w dalszym ciągu ją oczyszcza i żółty proszek wędruje do potężnych kadzi — topielników. Przetopiona tam przy pomocy pary wędruje transporterami do wagonów. Część siarki idzie do fabryki kwasu siarkowego. O, to właśnie jest ta fabryka. Oddana do użytku w połowie bieżącego roku, wytworzyła już blisko 50 tysięcy ton tego cennego dla przemysłu produktu. Produkcja w przyszłym roku ma wynieść 100 tysięcy ton. W planie pięcioletnim trzy razy tyle. Dlatego też w tym czasie wybudujemy jeszcze dwie takie fabryki. Proszę podkreślić, że pracuje tutaj zaledwie dziesięć osób podczas jednej zmiany.

Tam dalej, owe kilka budynków, które mają ponad 1 kilometr długości, to fabryka nawozów sztucznych — superfosfatu. Za kilka dni ruszamy z produkcją. W roku 1965 wyprodukujemy 600 tysięcy ton superfosfatu, a więc tyle, ile wynosi obecnie krajowa produkcja.

Proszę jeszcze uzupełnić, że będziemy budować tutaj inne fabryki — oddziały. Uruchomimy produkcję związków fluorowych. Produkty owe jak kriolit, fluorek glinu, fluorek sodu i inne — niezbędne są dla przemysłu aluminiowego, optycznego, przy powstawaniu tworzyw sztucznych.

No, to co? Kończymy już przechadzkę? Cześć! Z Machowa do Tarnobrzega kursuje kilkanaście autobusów. Proszę wsiąść do któregoś z nich, przejazd bezpłatny, bo wozy są własnością kombinatu.

Profesor Stanisław Pawłowski, odkrywca złóż siarki uchodzi wśród tarnobrzeskiej ludności niemal za bohatera narodowego. Grudzień 1953 roku to dla tej ziemi historyczna data, jedna z najważniejszych dat z ostatniego tysiąclecia.

Starzy ludzie jednak opowiadają, że tarnobrzeska siarka została odkryta już kilkadziesiąt lat temu. Hrabia Tarnowski, pan bogatych włości, kazał robotnikom kopać studnię na dziedzińcu jednego ze swoich folwarków. Wody pitnej nie znaleziono, ale robotnicy natrafili na warstwę żółtych okruczków. Hrabia dokładnie obejrzał znalezisko i polecił natychmiast studnię zasypać, zaś język trzymać za zębami.

Czemu ów majętny pan, właściciel tysięcy hektarów ziemi i lasów, tak bardzo przestraszył się żółtych okruczków skalnych?

Na jego polach pracowało czterdzieści tysięcy chłopskich dusz. Harowało za marny grosz, miskę strawy, zgrzebaną koszulę na grzbiecie.

Hrabia Tarnowski straciłby tanie ręce swoich niewolników. Przemysł zabijał feudalne porządki.

Stanisław Rams

Z FILHARMONII

OD paru lat działa w Rzeszowie Państwowa Orkiestra Symfoniczna, która w tej chwili skupia 64 muzyków. Występy jej odbywają się we wszystkich prawie miastach województwa i większych osiedlach, a nawet w niektórych wsiach (jak np. w Handziłowce). Każdego roku Orkiestra daje około 120 koncertów. W ubiegłym sezonie muzycznym koncertów tych wysłuchało blisko 40 tysięcy osób. Jako soliści występowali m. in. Sylvie Mercier, H. Czerny-Stefańska, A. Müller i A. Kawecka.

Bardzo udany był koncert rzeszowskiej Orkiestry Symfonicznej, inaugurujący sezon artystyczny 1961/62 r. Orkiestra pod batutą dyrygenta Tadeusza Chachaja grała Symfonię Nr VIII Beethovena oraz uwersturę do opery „Wolny strzelec” — Karola Marii Webera. Natomiast solistka tego wieczoru — Wanda Wilkomirska wykonała wraz z zespołem Koncert Skrzypcowy Arama Chaczaturjana.

Niedawno publiczność rzeszowska miała okazję słuchać wybitnego pianisty francuskiego Ringeisen, który wystąpił wraz z miejscową Orkiestrą Symfoniczną. Do Rzeszowa zaproszony został dyrygent Orkiestry Symfonicznej z Lublina — Andrzej Cwojdzkiński. W planie koncertów na bieżący sezon przewidziane zostały między innymi gościnne występy słynnego skrzypka Thelmany'ego (Dania) i polskiego wioleńczysty Hermann.

Spora część rzeszowskiej publiczności szczególnie upodobała sobie muzykę operową. Niemniej kierownik artystyczny Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie — Janusz Ambros — stara się wprowadzić do repertuaru coraz to trudniejsze utwory, wychodząc z założenia, że liczba odpowiednio przygotowanych słuchaczy ciągle rośnie. Z utworów tego rodzaju przygotowano już Koncert Sikor-

skiego na solo trąbki, 4 kotły, ksylofon i tam-tam, „Symfonia klasyczna” Prokofiewa, „Bolero” Ravela, „Obrazy z wystawy” Musorgskiego oraz VI Symfonię Czajkowskiego.

Osobny rozdział w pracy Orkiestry stanowią stale urządzone popularizujące muzykę imprezy dla młodzieży. Koncerty poprzedzane są zawsze w tym wypadku interesującymi prelekcjami. W samym tylko Rzeszowie blisko 40 szkół korzysta z tej cennej formy umuzykalniania uczniów.

Trudności lokalowe, z którymi boryka się dotychczas Orkiestra — zostaną w niedługim czasie rozwiązane. Już w przyszłym roku rozpocznie się bowiem budowa gmachu Filharmonii. Obok zlokalizowany został budynek Szkoły Muzycznej. Cały obiekt będzie należał do najbardziej nowoczesnych w Rzeszowie. W nowej siedzibie Orkiestra, jak też zorganizowany przy niej niedawno chór — znajdują już w pełni właściwe warunki do pracy.

(j. m.)

Rok Ziemi Rzeszowskiej

(Dokończenie ze str. 7)

zjazd redaktorów prasy i radia. Wspomniane zjazdy i konferencje miały na celu zapoznanie i zainteresowanie ich uczestników zagadnieniami województwa rzeszowskiego.

Niektóre czasopisma poświęciły problematyce Rzeszowszczyzny specjalne wydania („Życie Literackie”, „Współczesność”, „Z otchłani wieków”, „Poznaj swój kraj”, „Przegląd Mechaniczny”). O wydarzeniach i imprezach Roku Ziemi Rzeszowskiej informuje wydawany kwartalnie biuletyn.

(SL)

Fot. Z. Postępski



LAŃCUT
ZAMEK — MUZEUM

W ROKU 1926 Magistrat Lubelski nie odnowił swej umowy z dyrektorem Grodnickim. Teatr postanowiono wydzierżawić komu innemu.

Decyzja ta zapadła po licznych naradach i posiedzeniach, dość burzliwych, bo choć pięcioletnia kadencja rządów w teatrze Grodnickiego miała swoje blaski i wzloty, to jednak ciągle użeranie się z dyrekcją o dodatkowe subwencje i dotacje nie przewidziane umową, szantaże, że w przeciwnym razie zamknie się teatr, a personel posle pod Ratusz, by tam robił awantury i od ojców miasta żądał wypłaty zaległych poborów (nawiasem mówiąc ojcowie tego się specjalnie bali, bo już na Placu Lokućka w tymże roku niedługo odbyła się głodowa manifestacja) — te rzeczy już stanęły wszystkim kością w gardle. Ale miał dyrektor jeszcze sporo swych sympatyków i popleczników, którzy bądź mieli do niego wybitną słabość (ten człowiek potrafił sobie jednać ludzi), bądź też pewne subtelne i niespłacone długie wdzięczności. Nie mniej mu pomagali poważni wierzyciele, którzy w swoim czasie nieopatrznie poręczyli wekselki, gdyż wiedzieli, że tylko w razie pozostania Grodnickiego w teatrze istnieje jakaś nikła szansa odzyskania straconej gotówki. Były więc targi i spory, ale ostatecznie Grodnicki tym razem przegrał.

Teatr powierzono Stanisławowi Wysockiej i Ryszardowi Wasilewskiemu.

Decyzję tę, zresztą dość nieoczekiwaną, przyjęli wszyscy miłośnicy teatru w Lublinie z nieklamnym zadowoleniem. Wasilewskiego znaleźmy,

cały zespół artystyczny. Wszystko więc rozpoczęło się od nowa.

W zespole było niewiele gwiazd. Wysocka zasadniczo opierała się na młodzieży, z którą umiała pracować i po której wiele sobie obiecywała. Sam trzon stanowili starsi aktorzy, o ile sobie przypominam, to poza kierownictwem — Kuncewicz, Kochanowicz, Neubelt i kilku jeszcze innych, reszta to młodzi ludzie, jeszcze wtedy bez wyrobionych nazwisk, lecz pełnych zapału i świetnie się zapowiadających. Nie było jaką atrakcją był fakt, że Irena Solska, po likwidacji teatru im. Bogusławskiego nigdzie jeszcze nie zaangażowana, przyjechała do Lublina na zaproszenie swojej przyjaciółki, Wysockiej, i zamierzała zostać dłużej i współpracować z teatrem. Solska i Wysocka razem na scenie — toż to niecodzienna uczta dla teatromanów.

Dnia 22 października 1926 r. nastąpiło nareszcie otwarcie sezonu. Na tę uroczystość wybrano „Dziady” Mickiewicza w reżyserii i inscenizacji Ryszarda Wasilewskiego. Było to bardzo ciekawe i dobre przedstawienie. Wasilewski dokonał szczęśliwych i rozumnych skrótów. Zamiast realistycznych postaci diabłów, upiórów i innych zjaw, zaproponował umiejętnie i pomysłowe operowanie światłem i głosami. Kuncewicz (Konrad) i Kochanowicz (ks. Piotr) — nie były to kreacje na miarę Węgrzyna czy Osterwy, ale zagrali swe role czysto, z umiejętnością dozowanym, ładnym romantycznym patosem. Scena bału u senatora utkwiła mi na długo w pamięci. Roliszoną grała Wysocka — była to jed-

LEON WYCZÓŁKOWSKI

1852 — 1936



LEON WYCZÓŁKOWSKI — AUTOPORTRET

Repr. z Katalogu Wystawy w warszawskiej Zachęcie, IX. 1937 (z księgozbioru Edwarda Wrockiego)

W rb. minęło dwadzieścia pięć lat od dnia śmierci znakomitego malarza, który niejednokrotnie przebywał w Lublinie, a nawet przez pewien okres życia tu mieszkał. Penetrował z ołówkiem w rękę Ziemię Lubelską, w szczególności miasto Lublin. Leon Wyczółkowski stworzył m. in. świetne dzieło graficzne, którego tematyka oparta jest na motywach architektonicznych starego Lublina. W bm. Lubelski Okręg ZPAP, z inicjatywą swego członka, Wiktora Ziółkowskiego, skierował do PMRN w Lublinie wniosek o nazwanie jednej z ulic miasta imieniem Leona Wyczółkowskiego.

NARESZCIE DOBRY TEATR

KONRAD BIELSKI

gdz pracował już uprzednio wraz ze swą ładną żoną (występowała pod panińskim nazwiskiem Marii Makarczyk) w naszym teatrze za rządu Grodnickiego. Zostawił po sobie dobre wrażenie, jako zdolny aktor i reżyser, człowiek inteligentny i przyzwoity. Urzekło nas jednak przede wszystkim nazwisko Stanisławy Wysockiej, naszej wielkiej tragiczki. Wiedzieliśmy poza tym, że łączy ona w swej osobie także talenty znakomitego reżysera i pedagoga. Od tej dyrekcji można się było wiele spodziewać.

Jak te się jednak stało, że w tym samym czasie, gdy w Warszawie zlikwidowano teatr im. Bogusławskiego, tak świetnie i nowoczesnie prowadzony przez Leona Schillera, a rządy nad wszystkimi teatrami stołecznymi powierzono urzędniczemu triumwiratowi kompletnych ignorantów w dziedzinie sztuki, ku gromkemu oburzeniu świata artystycznego i większości prasy, — nasz Magistrat Lubelski okazał właśnie tyle rozsądku i zwaństwa rozporządzając losem naszej sceny.

Zjawisko to było o wiele bardziej proste, niż się zdawało, gdyż, jak twierdzili wtajemniczeni, ludzie, którzy powzięli decyzję, Wysockiej nigdy nie widzieli, a niektórzy nawet o niej nie słyszeli. Sytuacja Wasilewskiego była o tyle lepsza, że grywał jakiś czas na scenie lubelskiej i również udzielał się z żoną towarzysko. Oferta jednak, którą uwzględniono, była najkorzystniejsza. Wysocka i Wasilewski nie żądali żadnych dotacji, zadowalali się tylko bezpłatnym korzystaniem z gmachu, kostiumerii, rekwizytorni i zwolnienia od podatku. W zamian za to zobowiązali się prowadzić teatr przez cały sezon bez żadnych wstrząsów i awarii i gwarantowali wysoki poziom artystyczny. I jeszcze jeden warunek: tylko dramat i komedia — żadnej operetki. Ponieważ inni oferenci żądali bardzo poważnych świadczeń, a nie dawali żadnej rękojmi, Magistrat właściwie nie miał wyboru, tym bardziej, że chronicznie fatalna sytuacja finansowa i bardzo dwuznaczna polityczna (było to już po zamachu majowym) przynaglały do szybkiej decyzji. I tak dzięki tym wszystkim zbiegom okoliczności, Lublin przez ten jeden sezon miał teatr z prawdziwego zdarzenia.

O ile zawsze rozpoczęcie nowego sezonu teatralnego jest połączone z dużym zainteresowaniem i ciekawością, co też zobaczymy i w jakim wykonaniu, o tyle tym razem wśród bywalców teatralnych było wyjątkowe poruszenie. Wszędzie toczyły się rozmowy na temat teatru, dyskusje i spory. Oczekiwano inauguracji z wielką niecierpliwością, a była znacznie opóźniona, gdyż wraz z dyrekcją zmienił się

na z jej niezapomnianych kreacji, a Nowosilowa — gościnnie Zelwerowicz. W młodym zespole była jego ówczesna naręczona Krystyna Sewerówna, do niej przyjeżdżał w konkury, a przy okazji zagrał — i jak zagrał!

Niestety, takie to już szczęście Lublina, że ta premiera przeszła bez szerszego echa i stała się tylko sukcesem lokalnym. A było to przecież na wiele lat przed słynną inscenizacją Leona Schillera w Teatrze Polskim. Uczuliliśmy to przedstawienie godnie we własnym zakresie. Gralewski napisał świetną recenzję, a później wieczorem w gronie przyjaciół długośmy omawiali i opijali to wydarzenie.

Teatr nie obniżył poziomu. Następne premiery były udane i interesujące. Między innymi „Czarownica” Strindberga z Solską i Wysocką — niecodzienny popis szczytów gry aktorskiej. Potem „Lady Frederick” z nieporównaną, wspaniałą Solską w roli tytułowej.

Irenę Solską uwielbiałem i dziś jeszcze uważam ją za największą aktorkę polską, jaką widziałem. Każda jej rola to było dla mnie niecodzienne przeżycie. Pamiętam po dziś dzień jej sylwetkę na scenie, ruchy, kostiumy, które sobie sama komponowała, niezwykły, a urzekający głos. Pierwszy raz zobaczyłem ją w ekliwym i banalnym melodramacie angielskim Sheltona pt. „Romans”, sztuka ta później była grywana pod innym tytułem. Wielka aktorka i wspaniała światowa kobieta przejeżdża w odwiedziny do swego kuzyna, prowincjonalnego proboszcza anglikańskiego. Tam poznaje młodego pastora. Rodzi się między nimi miłość, ale oczywiście nie może być zrealizowana i wszystko kończy się na lżach, pięknych słowach, wyrzuceniu i rozstaniu. Otóż te aktorkę grała Solska. Olsniony, urzeczony i zakochany wyszedłem z teatru.

Gdy wtedy przyjechała Solska do Lublina, widziałem ją już w wielu słynnych rolach i uzupełniłem teraz wrażenia podziwiając ją na lubelskiej scenie. Osobiście wtedy nie udało mi się jej poznać. Mało się udzielała i wcześniej wyjechała. Dopiero znacznie później miałem zaszczyt gościć Solską w naszym domu. Zona moja również należała do jej wielbicieli. Przyjmowaliśmy Panią Irenę jak królową.

Wspominając te dawne dzieje teatralne może zbyt często używam superlatywów, lecz nawet z perspektywy lat uważam, że mam prawo tak pisać i że oceny moje nie są tylko skutkiem ówczesnego młodzieńczego entuzjazmu. Młodość była i entuzjazm także, ale nie bezkrytyczny. Właśnie dominująca

cechą nas, młodych intelektualistów, z których powstała grupa „Reflektora”, i kręgu naszych przyjaciół — był bardzo ostry krytycyzm w stosunku do rozmaitych spraw, a szczególnie związanych ze sztuką, no i co jest nieodzownie związane z młodością — atakowanie wielu usankcjonowanych autorytetów. Od teatru wymagaliśmy dużo i widzieliśmy dużo. Ja osobiście często jeździłem do Warszawy, nie opuściłem chyba żadnej sztuki w teatrze im. Bogusławskiego, podziwiałem wszystkie słynne przedstawienia „Reduty” i wiele, wiele wieczorów spędziłem w innych teatrach. Teatr lubelski za czasów Grodnickiego miał niewątpliwie pewne osiągnięcia, ale też i upadki, niestety, zbyt częste, znacznie poniżej przyzwoitego poziomu, na pograniczu zwykłej szmiry. Teatr Wysockiej od chwili startu do zamknięcia sezonu zachował linię wyrównaną, miał przedstawienia znakomite i gorsze, ale nigdy nie poszedł na żadne ustępstwa i łatwizny. Pani Stanisława zbyt wysoko dzierżyła ten przysłowiowy sztandar i nie uznawała żadnych kompromisów.

W kierownictwie teatru nastąpił podział pracy. Wasilewski zajął się przede wszystkim stroną gospodarczą i administracyjną. Na jego barki spadły wszystkie kłopoty związane z prowadzeniem tak trudnego w tych czasach przedsiębiorstwa teatralnego. Czynił to dobrze i z dużym wdziękiem. Pełen towarzyskiej ogłady, lubił ludzi, nie gardził kieliszkiem w dobrym towarzystwie i partijką pokera w klubie. Te kontakty były jednak w skromnych ramach, gdzieś im do rozmachu i pompy Grodnickiego.

Natomiast pani Stanisława Wysocka nie zniżała się do tych pozłomych i prozaicznych spraw. Spełniała funkcje tak zwanego dziś kierownika artystycznego. Ona była jednak duszą tego teatru. Przede wszystkim trzymała w ryzach zespół, który ją zresztą uwielbiał. Wykreślała linię repertuaru i reżyserowała większość sztuk. Reżyseria to była twórcza, pełna inwencji i na wskroś nowoczesna (oczywiście na tamte czasy). Wysocka miała ponadto wielki talent pedagogiczny, lubiła i umiała pracować z młodymi. Ciężką miała rękę i duże wymagania. Potrafiła besztuć jak podoficer zawo-

dowy. Nie darowała żadnego potknięcia lub fałszywego kroku. Na ten temat krążyło wiele anegdot. Ale skoro już doszło do premiery — było czym się pochwalić. Bardzo młodzi aktorzy i aktorki zdumiewali zaskakującą dojrzałością i opanowaniem rzemiosła.

Dwa takie przedstawienia stały się dużym wydarzeniem artystycznym. „Balladyna” i „Sen nocy letniej”. Pamiętam oba te spektakle. Balladyna baśniowa, antyrealistyczna, w ciekawych stylizowanych kostiumach i oprawie scenicznej Tadeusza Gronowskiego — było to piękne kolorowe widowisko, a młodzież aktorska grała jak z nut. „Sen nocy letniej” podobny był w swoim klimacie. To też było bardzo dobre przedstawienie.

Wysocką poznałem osobiście. Wprowadził mnie tam Gralewski, który ją wcześniej poznał i był u niej dość częstym gościem. Zajmowała dwa nieduże pokoje na IV piętrze w gmachu teatru. Często walała czarną kawą o potwornej mocy, jakiś super-szatan, a czasem nawet alkoholem w postaci czystego spirytusu. Lubiała wypić jeden kieliszek czegoś bardzo mocnego. No, ale najciekawsze były jej gawędy. Wiele przeżyła, wiele widziała — lubiła i umiała to przekazywać słuchaczom. Oczywiście, jak to wszystkim aktorzy wielcy i mali, przede wszystkim o sobie, ale i to było bardzo ciekawe.

Nasze dobre stosunki zakłócił w końcu pewien incydent. Wysocka wysoko ceniła Emila Zegadłowicza, ba, nawet otaczała go jakimś kultem i uwielbieniem, zresztą wzajemnym. Nazywała go: „księżą poetów polskich”. Nikogo więc nie zdziwiło, że w prowadzonym przez siebie teatrze postanowiła wystawić jego sztukę. Miała to być prapremiera. Sztuka nosiła tytuł „Betsabe” i oparta była na historii znanej ze starego testamentu. Ten temat zresztą był już niejednokrotnie obrabiany przez różnych pisarzy. Reżyserie sztuki objęła sama Wysocka i dała najlepszą obsadę. Mimo tego sztuka się nie podobała i po kilku przedstawieniach padła. Dziś już niewiele z tego pamiętam, ale chyba nie był to utwór najwyższej jakości.

Gralewski napisał recenzję bardzo powściągliwą, chwalił reżyserię i grę

(Dokończenie na str. 10)

Trzmielina w Starym Lesie

Z CYKLU „LUBELSKIE ZIOŁA”

W Starym Lesie, za miastem,
nad suchym rowem trzmielina
wyblakła w sosen idących rzędem
kolysze pod listkami
Rudziki znają smak ten
rozewierkane wydziobła
potem strzępiaste lotki
opłakują tę matkę co je

Wiosną
[przysłania
rzedem
pokoleniach
kanciaste trzmielęta.
[leż owoców barwnych:
[kolorowe mięso —
[nad igliwem
trzesąc
dziećmi żywi.

ZYGUMT MIKULSKI

Trzy płatki śniegu

Pośród deszczu kropielek
tej zimy tak nie wiele,
jakby w niebie zdechl pies.

Lecz mimo psiego zgonu
płatki upada do nóg.
Jest!

Czy potrzeba aż kilo?
Nie decyduje ilość —
jeden, no dwa, no trzy,

a żegnasz wszelką biedę,
bo lat masz znowu siedem
i radość śni.

Migają gwiazdki młode,
nadjeżdża samochodem
Święty Mikołaj w renach.

W srebro dziecięcych chwil
reflektor wyświetla film
produkcji Andersena.

I — to już oczywista —
w oknach sklepowych wystaw
jakby wszystko się śniło.

Więc wpatrzony w te światy
nie odróżniasz gramatyk:
czy to „jest”, czy „było?”

Pierwszy, drugi i trzeci
płatki na ziemię leci,
a jeden trzyma świeczkę.

Zima rozpuszcza włosy,
a tych troje to dosyć,
byś był z powrotem dzieckiem.

NARESZCIE DOBRY TEATR

(Dokończenie ze str. 9)

aktorów, ale nad jakością sztuki przeszedł lekko do porządku dziennego. Dla „księcia poetów polskich” nie okazaliśmy należytego szacunku i podziwu, co gorsza kwestionowaliśmy zasadność tego tytułu. Inne bóstwa w poezji wtedy nam patronowały. Na domiar złego w wystawionej w tym czasie szopce lubelskiej, której byliśmy autorami, ukazała się kukła Wysockiej i tak między innymi zaśpiewała:

Tak Zagadłowicz prosił,
leżkami liczo rosit
i rączki w górę wznosił:
ach, dotóż swoich sił!
Betsaby, mej Betsaby
był spektakl bardzo słaby,
Davidowci i Betsabie tylko autor brawo
[bit.

„Babcia Wysocka”, jak myśmy ją pieszczotliwie nazywali, obraziła się nie na żarty i orzekła, że jesteśmy „niedowarzeni smarkacze”. Później jednak wspaniałomyślnie nam przebaczyła i rozstał się w zupełnej zgodzie.

W ogóle mój kontakt z teatrem był żywy i serdeczny. Ze wszystkimi żyliśmy dobrze, a z młodzieżą aktorską

MĘTNE słońce wyzierało zza dymu. Szedłem z pośpiechem zaulkami wśród koślawych domków i łopoczącej bielizny na sznurach. Przypomniało mi się, że mam ojca. Ze wszystkich stworzeń żywych cieszyły go tylko ryby. Nie urodziłem się kielbami, więc nie przypadłem mu do gustu. „To nie dzieciak, to czort wi co — odzywał się do matki. — To twój charakter”. Matka na widok ryb dostawała wysypki. Sam je smażył, sam gotował i sam jadł. Całkiem możliwe, że dlatego nie odczuł jej braku, gdy umarła. Ojciec uprawiał niesamowitą sztukę wędkarską, nie oglądając się na resztę świata i był w tym prawdziwym artystą. Dla chleba trudnił się stolarką, ale miał w pogardzie swój fach. Gdyby pomór padł na naszą rzekę, ojciec powiesiłby się na suchej gałęzi.

Z dała załsnia jego łysina, kiedy wszedłem w podwórko, gdzie miał swój warsztat. Wióry zachręściły pod moimi stopami, nieuchwytny pył trocin unosił się ze złotem w powietrzu. Stary z namaszczeniem oglądał deskę sosnową. Spojrzał na mnie przelotnie jak na kolek w płocie, pogłaskał się po jajowatej łysinie i wziął się do heblowania.

— Jak się masz — powiedziałem.
— Daj pięć złotych.
Strugał heblem i pary z gęby nie puścił.

— Tatulku, widzisz mnie raz na rok. Daj trzy i kwita.

— Ho, ho. Trzy złote. Żeby sam tyle miał.

— Kutwo, chciałeś mieć syna.
Wyrząsnął wióry z hebla, wydymuchał go ślicznie.

— Nie ja chciałem, tylko twoja matka.

— Tak czy owak jesteś moim ojcem. Twój nos to mój nos. Czy ja ci wymawiam, że obdarzyłeś mnie taką kociubą?

Stary zastanawiał się nad naszym podobieństwem, jakby mnie spotkał pierwszy raz w życiu, i zrobiło to na nim piekielne wrażenie. Dopiero po ładnej chwili zniknął z jego oblicza wyraz zdumienia. Wyciągnął kapciuch i gmerał w nim palcami. Pochrząkiwał, żmudnie zbierając myśli.

— Skórę masz ze mnie — powiedział stary i zapalił fajkę. — Skórę. A co w niej siedzi, to już nie moje.

Ani mi się śniło wdawać w dyskurs na ten temat. Nie przyszedłem rozstrzygać w nim wątpliwości. Skoro nie porozumiał się ze mną od kolyski, trudno aby zrobił to teraz.

— Nie chcesz mi nie dać prócz łysin w spadku?

— A będziesz ją miał — ucieszył się stary — i to w młodym wieku. Ja zacząłem łysieć grubo przed trzydziestką. Ile ty właściwie masz lat?

— Osiemnaście skończyłem wczoraj. Mógłbyś pamiętać.

Stary rozpromienił się i zatarł ręce.
— Co ty powiesz! Osiemnaście. Na pewno?

— A bo co, tatulku? — zapytałem z czułością widząc, jak w nim ozywają ojcowskie uczucia.

Uściskał mnie i klepnął po ramieniu.

— Mam dorosłego syna! — zawołał i rozejrzał się po warsztacie obwieszając do stolikom, narzędziami i wiórom. Wyjął z ust fajkę i cybuchem zakreślił nade mną krzyżyk. — Bądź zdrow.

— No dobra — powiedziałem. — Dziękuję ci za błogosławieństwo. Daj pięć złotych i zjeżdżam.

— Jakie pięć złotych?

obojga płci były stosunki serdeczne, a nawet przyjacielskie.

Teatr jednak chromał. Mimo tych bezsprzecznych zalet i wysokiego poziomu. Frekwencja nie dopisywała, szczególnie w drugiej połowie sezonu, jak zwykle pod wiosnę. Zaszedł nawet taki niepokojący wypadek, że przedstawienie „Elektry” Hofmannstahla z Wysocką w roli tytułowej, którą sama uważała za jedną ze swych najlepszych kreacji, musiano już za trzecim razem odwołać z powodu braku widzów. Wysocka bardzo ciężko przeżyła ten niezasłużony cios. Zdarzyło się to pierwszy raz w jej życiu — smutne, że właśnie w Lublinie.

W tych trudnych chwilach Wasilewski starał się o uzyskanie pewnej, choć niewielkiej, pomocy od Magistratu, lecz bezskutecznie. Wszystko odbyło się tak, jak w jego piosenkach w szopce.

Prosiłem ich jak na kweście,
żeby dali dala mi nareszcie
trochę floty na kłopoty,
bom dyrektor dziad,
ale oni mi nie dali,

— Te, co prosiłem.

— Kiedy?

— Przed chwileczką.

— To niemożliwe — pokręcił głową. — Sam chyba rozumiesz.

— Dlaczego?

— Wczoraj skończyłem osiemnaście lat. Zgadza się? No. Gdybyś przyszedł przedwczoraj, dałbym ci, jak mi Bóg miły. Ale gdzie jest powiedziane, że mam dawać dorostemu synowi?

— Ojciec mój łysy — rzekłem — Nigdy ci tego nie zapomnę.

Wracałem ulicą Solną, gdzie mieszkaliśmy pod szóstym, dopóki żyła moja matka. Miała sprytną rękę do noworodków. Chodzą dziś tacy po mieście, co od niej oberwali pierwszego klapsa w tyłek. U zegarmistrza zobaczyłem, że jest godzina dziesiąta na zegarze z kurantem. Barbara na pewno już się obudziła, przeczesła włosy długimi palcami i pomyślała sobie, gdzie się podział ten dureń. Czy człowiek musi tak cierpieć, gdy

Kaprys

JERZY KRZYSZTOŃ

chce ofiarować dziewczynie jedną różę? I co ja zrobię? — pomyślałem z rozpaczą.

Na progu swojego zakładu wygrzewał się Franek w kifulu pstrokatym od sierści klientów. Wystawił chuda twarz do słońca wyzieraającego znad dachu odrapanej kamienicy. Koścista grdyka napięła skórę żylastej szyi jak korzeń. Pozdrowiłem go. Zamrugał kaprawymi oczami.

— Panie Franku, pan mnie znasz nie od dzisiaj. Kanciarz jestem?

— Tego nie powiem — odparł. — Ale forsę nie pożyczę.

— Kto mówi o forsie — bąknąłem. Zbił mnie z tropu. Musiałem zyskać na czasie. — Ogoł mnie pan po znajomości.

Wyjął z kieszonki brzytwę

— Masz. Sam się ogol.

Paskudnie, Franek taki trudny w interesach? Nieraz pożyczal mi bez gadania. Stałem przed lustrem, namydliłem policzki. Nieczęsto mu oddawałem, ale Franek wierzył we mnie, jak mało kto; wiedział, że zwrócić co do grosza, kiedy założę kancelarię adwokacką. Na razie byłem na pierwszym roku prawa. Spryskałem twarz kolońską wodą. Franek stał w progu ze swoim słońcem, wsparty o framugę.

— Panie Franku, co pan powiesz na piątaka?

— Splukałem się — odparł. — Działkę kupiłem na cmentarzu.

— Pan masz humor, panie Franku.

— Humor — mruknął. — Gruźlicę to i owsem.

Odwrócił twarz do słońca. Krok w krok szedł za mną pech, uprzedzał wszystkie moje zamiary, czatował na każdy mój ruch, udawałem, że tego nie widzę, nie przyjmuję do wiadomości, inaczej skazałbym się na struchlałą egzystencję. Boże święty, czy dziś złotówki nie zobaczę?

Potrzebny był mi drobny rekwizyt z wityny kwaciarni, przed którą

od Grodnickich jeszcze wymyślali,
nie ma rady, graj te Dziady
kiedyś tutaj upadł.

A jednak kierownictwo teatru dotrzymało swych zobowiązań. Sezon zakończyli w przepisany terminie bez długów, poziom do końca pozostał niezmiennie wysoki. Wprawdzie częściej już grywano lekkie komedie, ale były to rzeczy na poziomie i bardzo starannie wystawione, ale nie zaniechano i poważniejszego repertuaru. Z tego okresu przypominam sobie bardzo ciekawe przedstawienia: „Szelmostwa Skapena” Mollera i „Magia” Chestertona.

Wreszcie teatr zamknął podwoje. Wysocka pojechała do Poznania. Wasilewski do Bydgoszczy. Zespół też się prawie całkowicie rozproszył. Nikt z kompetentnych czynników i władz nie zatroszczył się o to; by ich zatrzymać na dłużej i stworzyć odpowiednie warunki pracy.

Na widowni znów się ukazał Grodnicki.

Konrad Bielski

stałem przestępując z nogi na nogę. Cena róż i goździków była właściwie obojętna wobec pustki w kieszeni. Piegowata staruszka za szybą układała storczyki w wazonie. Skryła się za nimi i ujrzałem jej ciekawskie oczka zza kwiatów. Badała mnie z ukrycia — byłem wychudły, niewyspany, w wywiechtanym płaszczu, ścisiałem w rękach akademicką czapkę ze złamanym daszkiem. Postąpiłem staruszcze głęboki ukłon. Uśmiechnęła się kukuleczką mordką. Ośmieliłem się i wstąpiłem do środka. Od aromatów zaćmiło mi w oczach.

— Poproszę jedną różę.

Staruszka wychyliła się zza storczyków i spojrzała surowo.

— Chłopcze, skapstwo wpędza miłość do grobu. Weź bukiet.

Poczułem chłód posadzki przez dziurawą podeszwę. Zaśmiałem się głupkowato. Uroczą staruszką, niekniętą reumatyzmem i sklerozą, miała tyle świeżości, jakby okpiła czas. Pięgi jej mienily się wśród storczyków, goździków i róż. Wybierała z wazonu różę i mrugała do mnie okiem. Bezcelność dodała mi otuchy i nabrałem przekonania, że dostanę od niej różę za darmo. Zrobił mi tę przysługę i zyska wieczny kredyt w mojej pamięci. Zniścacka przylapałem jej podejrzliwe spojrzanie.

— Brunetka?

— Ruda.

— Nie wyglądasz na takiego, co lubi rude — powiedziała z namysłem, tracąc skwapliwość ruchów. — To mój kolor włosów. Dawny mój kolor. Byłam ruda jak wiewiórka.

Nie wiem, dlaczego odezwała się szeptem. Nie chciałem znać jej ta-

Głęboko sięgają korzenie śmierci

(Dokończenie ze str. 4)

Śmierć, jak czarna pantera zrodzona z węgla, mocno w swych szponach trzymała ofiarę i zadrwiła sobie z ludzkiego poświęcenia i wysiłków.

— My, ratownicy, wraz z dyrektorem płakaliśmy na pogrzebie jak bobry — zakończył swe opowiadanie przewodniczący Rady, p. Jekiel.

Zrobiło się cicho. Małymi łyżkami piliśmy kawę i myśleli i o tym niezwykłym wypadku, i o ciężkiej pracy górnika.

Ale życie ma swoje prawa i swe obowiązki. Nie można ulec depresji. To tak jak na wojnie. Cóżby to było, gdyby nad każdym trupem towarzysza szlochali koledzy żołnierze. Na pewno zwycięstwo nie byłoby ich udziałem.

Zrozumieliśmy tylko, że praca górnika to prawdziwy front pracy, o którym tak mało myślimy, gdy na co dzień dla naszych celów praktycznych i naszej wygody użytkujemy węgiel.

Zwiedzaliśmy potem kopalnię, zaglądali do każdego działu z zachłannością ludzi, którzy nos wścibiają do innego świata. I wielka hala maszyn, i transportery szumiące jak jazgoczące węże, i sortowanie węgla, i...

W tym miejscu przechodzimy do innej dziedziny. Zwiedzamy Dom Kultury, bibliotekę zaopatrzoną w prawie pięć tysięcy tomów i domy budowane dla pracowników, i ambulatoria, i szkołę dokształcającą. Każdy górnik musi mieć ukończoną szkołę podstawową. Kto jej nie ma — musi się uczyć. Nawet ojcowie rodzin mający kilkoro dzieci uczęszczają do wieczorówki.

Łaźnie i hotele robotnicze lśnią czystością. Wszędzie widać wielką troskę o tego, którego praca daje zyski całemu narodowi.

Właśnie skończyła swą pracę zmianna. Z głębi kopalni wychodzą dziesiątki i setki zmęczonych ludzi. Przeważnie są młodzi. W górniczych hełmach, z latarkami, w kombinezonach, wyglądają jak żołnierze po długim męczącym marszu.

Są inni, są odrębni, schowani za otoczką wydobyta z głębi podziemnego świata, który wyciska na nich swe piętno. Ale w ich oczach błoną jakiejś iskry, jakiejś plomyki, które jak pochodnie rozpraszają ciemność.

Idą jak armia, która wie, że mimo strat zwycięstwo będzie jej udziałem.

Głęboko sięgają korzenie śmierci, ale patrząc w te twarze wie się na pewno, że jeszcze głębiej sięgają korzenie życia i że każda najdotkliwsza klęska obróci się w ostateczne zwycięstwo człowieka nad wrogimi mocami.

Wacław Gralewski

jennic, mogła to wyczytać z mojej twarzy, w którą wpatrywała się z nieprzyjemnym uporem. Poczulem, że między nami czai się coś złego. Nie-możliwe, abym kiedykolwiek wtrącił się w jej życie, o którym nie wiem. Dlaczego na mnie patrzy, jak-bym wypożyczył cudzą skórę. Z każ-dą chwilą zyskiwała władzę nade mną, stałem przykuty, jakbym zawi-nił wobec niej czymś tak paskudnym, że trudno to nazwać po imieniu. Po-ruszyła wargami i na pewno powie-działa nie to, co miała na myśli, coś całkiem innego.

- Pewnie ma zielone oczy.
- Trochę.
- Aha, szarozielone.
- Wcale nie.
- Jedno piwne, a drugie zielone.

— Wstydzilibyś się — powiedziała staruszka. Ogromnymi nożycami przy-cięła krzywą łodygę i owiązała bu-kiet wstążką. Zmienacka wymierzyła we mnie palec — Kochasz ją czy łąsz?

— Co to jest? Kwaciarnia czy kon-fesjonal?

Staruszką zatrzęsło. Rzuciła bukiet i zmrużonymi oczkami, przez szparki, spojrzała nienawistnie.

— Idź sobie. Kwiatów nie dosta-niesz.

Bukiet kusił kroplami na świeżych płatkach. Bez namysłu wyciągnąłem rękę. Staruszka chwyciła nożyce, błysk ich ostudził mnie w oka mgnieniu. Odskokylem, jakbym miał sprężyny w piętach. Skradła się zza lady mie-rząc długim żądłem nożyc. Struch-lałem i bojąc się odwrócić, aby nie dźgnęła mnie w plecy, nie spuszcza-łem z niej oczu i cofałem się krok po kroku, grzbiet mój natrafił na twardą ścianę, osłoniłem brzuch, prze-szyje mi łądzwie na wylot.

— Groszem nie śmierdzisz, a bie-rzesz się do dziewczyny. Znałam ta-kiego.

Zwarła ostrza i czaiła się z żądłem gotowym do ciosu. Szept jej brzmiał jak wyrok. Nożyce szcęknęły... Wy-winałem się jak nagi w ukropie i rzuciłem się do drzwi. Z włosami zjeżonymi na karku, wypadłem na

MARIA JÓZEFACKA

Gwiezdna manna

Samotna jest ludzka droga, bezlistne dni ją wyteczą i trzeba wbrew przekonaniom zawiesić wiersz na księżycu.

Weisnąć kapelusz na czoło i biorąc skalpel do ręki, szybko i bezboleśnie przeciąć sny i rozdźwięki.

Rozwinie się szosa asfaltem z mokrymi płamami światła, wśród gwarnych ulic powiedzie droga wygodna i łatwa.

A wtedy w sytości i nudzie (choć wiatr tam przecież nie śwista) nigdy na serec nie spadnie dreszcz szczęścia — manna gwiazdzista.

LONGIN JAN OKOŃ

Z i m a

W szczytnie wierzby schylonych nad koleiną drogi wiatr dmucha jak w piszczałkę

Odarte z rękawiczek liści suche wierzbowe ramiona dźwięczą studzonnym płaczem

Kubłaki chmur przepalone oddechem wiatru syplą białą siećkę a wierzbowe fujarki strojone dotykiem tańczących [białych kruszyn

szalony marsz zimy
Ziemia zakwita białą.

ulicę. Gnałem nieprzytomnie, susami przez rynsztoki.

Ocknąłem się w głębi jakiegoś zaułka, policzkiem przyciśnięty do mu-ru z chropawego kamienia. Pot stygl mi na twarzy, oblażalem słoną wargę. Błękitne muchy wygrzewały się na murze, kamień iskrzył się kryształ-kami. Pachniało zgnilizną. Pod mu-rem wybrzuszył się śmietnik. Pod-niosłem z ziemi jabłko ze śladami dziecięcych ząbków. Kwaśne niemio-łosiernie, nie nie jadłem od wieczora, chciało mi się pić i wysłałem ogryzek. Powodził mi się, pomyślałem. Oby tak dalek.

Jerzy Krzysztoń

(Dokończenie ze str. 3)

telników do jednej doby, może kilku dni, co najwyżej — do paru tygodni. Felietonista żyje czerpiąc materiał do swoich utworów z chwili, ale i razem z tą przemijającą chwilą umiera, a wskrzeszenie blasków przeszłości po-przez książkową reedycję felietonów okazuje się często zabójcze nawet dla najlepszych z nich. Cóż, felietonów nie pisze się dla potomności, dla wnuków i prawnuków, ale dla współczesnych — prawda ta smakuje gorzko tym wię-ciej, że zbytnie dochowywanie jej wierności, za mały szacunek felietoni-sty dla własnego pióra popycha go de-likatnie, a niepostrzeżenie w przepaść tandety, szmiry, grafomanii. Ale o nędzy współczesnego, zwłaszcza pol-skiego, felietonu — za chwilę.

W felietonie rdzeniem, kręgosłupem, dokoła którego zbierają się wszystkie koncepty, dygresje i dowcipy, jest więc opinia o jakimś zjawisku, często apodyktyczna, ale jeszcze częściej — mówię o idealnym typie felietonu — oryginalna, odważna, osobista. Nie dziw zatem, że felieton uprawiali i uprawiają z zamiłowaniem wszelkiego rodzaju krytycy, a już szczególnie krytycy literatury i sztuki. Pod ich piórem właśnie zaczęły się felietony wyodrębniać, specjalizować, obok więc felietonu — by tak rzec — „ogólnego”, obyczajowo-moralnego, jaki uprawiali Prus i Słonimski, czytamy w dziennikach i czasopiśmie felietony literackie, muzyczne, plastyczne, teatralne. Tutaj felieton zajmuje pozycję pośrednią między recenzją a esejem, między informacją o dziele sztuki, jego oceną, a próbą własnego spojrzenia na prob-lem pokazany w książce, obrazie, bądź widowisku teatralnym. Również takie felietony mają piękną tradycję: pisał je klasyk krytyki literackiej Sainte-Beuve i zapalczywy propagator hasła „sztuka dla sztuki” Teofil Gautier, a felietony teatralne doprowadził do perfekcji humoru i dowcipu nasz Boy w swoich „Flirtach z Melpomeną”. I tutaj znowu sprawdza się atrakcyjność felietonu jako gatunku wypowiedzi, opinii: jeśli już czytelnik, słuchacz czy widz ma ochotę zasięgnąć języka o książce, koncercie, bądź teatralnej premierze — znacznie łatwiej namó-wić go do przeczytania opinującego te zdarzenia felietonu niż recenzji, któ-ra go zazwyczaj nudzi, albo esaju, jaki wymaga najczęściej sporego wysiłku intelektualnego, a nieraz i pracowitego przygotowania profesjonalnego.

Felietony mogą się różnić między sobą nie tylko tematyką, kierunkiem zainteresowań autora, ale i gatunkiem tworzywa — obok więc felietonu przeczytanego w „Życiu Warszawy” czy „Przekroju” możemy wysłuchać przez radio felietonu muzycznego Waldorffa i obejrzeć prof. Jerzego Sa-wickiego przy „Paragrafie i fajce” na ekranie telewizyjnym. W tym wypad-ku jego (felietonisty, nie ekranu) obo-wiązki się nie zmieniają, ba, nawet mnożą: felieton radiowy czy telew-izyjny musi być przecież nie tylko na-pisany, ale — co więcej — wygłoszo-ny gładko, z werwą, dowcipem, brzmiałym już w intonacji między i poza słowami, z akcentem na dobrej, ostrej poincie. Pointa bowiem poz sta-je w każdym felietonie elementem najważniejszym z ważnych, jako że musi pogłębiać i zaostrzyć w czytelniku, słuchacz, widzu odebrane wra-żenie tak, jak ostatni kęs pikantnej kanapki mieści w sobie satysfakcję z „już” i apetyt na „jeszcze”. Celuje w przyrządzaniu takich kanapek felieto-nowych z muzyki np. Jerzy Waldorff, który swoje ciekawe i zjadliwe uwagi o solistach, dyrygentach i kompozyto-rach (a także... o słuchaczach, że przy-pomnę jego kapitalny felieton po ostatnim Konkursie Szopenowskim) potrafi przybrać dobrym, atrakcyjnym cytatem, fragmentem muzycznym. Tu-taj felietonista literacki jest zdecydo-wanie uboższy o możliwość urozmaicenia własnej narracji takimi właśnie efektami akustycznymi czy wizualny-mi, musi zatem okazywać nielatwą w praktyce samowystarczalność.

Alco mimo groźnej konkurencji radia i telewizji właściwym polem felieto-nowych łowów pozostają nadal kolum-ny dziennika, szpalty magazynu ty-godniowego czy stronica periodyku literackiego, rzadziej już — naukowe-go. Jest to szczęście, ale i zarazem — podobnie jak w przypadku reportażu — przekleństwo felietonu, źródło jego powszedniej degradacji artystycznej, pauperyzacji literackiej, brakoróbstwa w pomysłach i wykonaniu. Możemy to wyjątkowo dobrze, za dobrze niestety, obserwować w Polsce, bądź co bądź ojczyźnie Prusa i Boya, gdzie redakcje „na siłę” nobilitują mianem felietonu zgola poronione plody, gniciuchy li-terackie, będące w rzeczywistości — i to kiepskimi publicystycznie — arty-kułami, których jedyną cnotą okazuje się krótka forma, nie mająca zresztą nic wspólnego z lapidarnością sformu-łowań i zwięzłością kompozycji. Nomina sunt odiosa, ale każdy, kto chce czy musi (ze snobizmu, bądź pro-fesjonalnego obowiązku) przeżywać co tygodniową porcję periodyków — krztusi się raz po raz i załamuje ręce nad kulturowaną przez skądinąd am-bitne pisma i utalentowane pióra, ze szkodą dla własnego poziomu i talen-tu, dewaluacją felietonu do obiegowej, wytartej w banałach i truizmach, mo-ney dziennikarskiego wypracowania.

Dlaczego — nie od dziś i nie tylko w Polsce — tak się dzieje? Główną, choć nie jedyną, przyczyną dewaluacji felietonu wydaje się jego, narastająca od międzywojennego dwudziestolecia, inflacja, produkcja felietonów, a ra-czej namiastek felietonów w proporcji, być może, do zapotrzebowania czytel-

PARADOKSY FELIETONU

ników, ale nie do — bynajmniej nie rodzących się na kamieniu — talen-tów felietonistycznych. Redaktorzy, dobrze wprawdzie rozumiejąc niezastąpioną funkcję felietonowej przys-ławki w układanym przez nich jadro-spisie dziennika czy tygodnika, nie uświadamiają sobie jednak na ogół faktu, że taką przystawkę musi pre-parować dobry kuchmistrz i to ze składników pierwszej świeżości i ja-kości. Nie każdy pisarz, a już na pew-no nie każdy dziennikarz posiada dy-spozycję, czyli koncept, dowcip i styl felietonisty, chociaż — o ironio! — bodaj każdy z ludzi parających się piórem sądzi, iż napisanie felietonu jest czynnością łatwiejszą nawet od spłodzenia wiersza.

Tymczasem historia felietonu korzy-sta w tym miejscu z prawa *veta*. Odr-zącmy mędrze pokusę demonstrowa-nia przykładów z „osłej łączki” feli-etonistów-grafomanów i przyjrzyjmy się dwu pisarzom dwudziestolecia, zaopatrzonemu w mniej więcej jedna-kowe porcje konceptu i dowcipu: ich antagonizm osobisty i konkurencja li-teracka na szpaltach prasy wynikała m. in. właśnie stąd, że jeden z nich był rasowym felietonistą, a drugi — nie. Myślę oczywiście o Tadeuszu Boyu-Zeleńskim i Karolu Irzykow-skim; jest zresztą bardzo znamienne, że autor „Flirtu z Melpomeną” ulegał chętnie i stale wpływowi kultury oj-czynny felietonu — Francji, natomiast Irzykowski gustował raczej w trud-nych, pryncypialnych dywagacjach niemieckich teoretyków i krytyków li-teratury i sztuki. Otóż Irzykowski, próbując zresztą od czasu do czasu używać lżejszego kalibru wypowiedzi miał Boyowi za złe (bardziej podświa-domie niż świadomie) jego rasowo felietonowy, lekki, dowcipny, ale czę-sto niesprawiedliwy stosunek do god-nych traktowania przede wszystkim serio problemów i tematów. Inaczej Boy: ten — poza osobistą antypatią — nie znosił Irzykowskiego, jak się zda-je, głównie za brak talentu i dyspozy-cji felietonisty, za branie życia i li-teratury zbyt i z reguły na serio, spo-sobem zasadniczych, pryncypialnych rozważań i refleksji. A co najciekaw-sze... każdy z nich miał w swoich pre-tensjach do drugiego sporo racji. Po prostu: nie wszystko, nie na każdym miejscu i nie o każdym czasie może być obiektem ataku felietonisty, jed-nak również nie powinno się przy próbowaniu pióra w felietonie popeł-niać znanego błędu aktorów o wyraź-nych dyspozycjach komicznych, którzy marzą całe życie, aby choć raz zagrać Hamleta i, co najgorsze, grają go nie-kiedy. Zatem — by podsumować wniosłem hasłem — felieton winien być literacko zastrzeżony dla tych pi-sarzy, co potrafią lekko, zgrabnie i dowcipnie trzymać w palcach pióro, do-

tykać nim puls czasu, nakłuwac pę-cherzyki absurdu i nonsensu w pen-etrowanej dziedzinie życia czy kultury — tych, co umieją swym piórem od-rysowywać cienko a przenikliwie ota-czający ich świat i społeczeństwo.

Ale i najlepszy kuchmistrz nie po-trafi zaprezentować swoich kulinar-nych umiejętności, jeśli przystaje na przyrzadzanie co tydzień felietonowej „zupki nie”. Otóż to: druga z głów-nych przyczyn kryzysu współczesnego felietonu jest pisanie go najczęściej dosłownie „z niczego”, bez materiału, bez przygotowania, bez niewykracza-jącej niekiedy poza elementy prym-tywu literackiej obróbki. Tutaj znowu muszę sięgnąć po przykłady i pomoc do ideału — do „Kronik Tygodnio-nych” czy „Kartek z podróży” Bolesława Prusa. Jeśli uważnie wczyta-ć się w jego kreślone cierpliwie z ty-godnia na tydzień felietony — ułatwia nam to znakomicie przygotowane edy-torsko przez prof. Zygmunta Szwey-kowskiego wielotomowe wydanie „Kronik” — zdumiewa wkład pracy, inteligencji i erudycji, zużywany na opracowanie niewielkiego odcinka ga-zety. Prus m. in. dlatego był wzorem felietonisty, że znał otaczającą go współczesność nie tylko i nie przede wszystkim z plotkarskiej atmosfery kawiarni lub salonu, ale z czytwa-nych pilnie, na bieżąco, książek i czas-opism, oglądanych wystaw i wido-wisk teatralnych, z życia, podpatry-wanego ukradkiem lecz bystro na ulicach Warszawy, w jej parkach, sklepach, na placach zabaw. Tak przygotowywana, przetwarzana „Kro-nika Tygodniowa” nie była irytują-

cym dziś najczęściej felietonem „od ręki”, czy „z lewej ręki”; składając się z materiału z wielką pracowitością i odpowiedzialnością gromadzonego i obrabianego nie dziś, że miała tyl-u czytelników i przetrwała jako nie tylko dokument, ale i utwór literacki do dziś.

Bez trzęcia przesłanką dobrego feli-etonu, mogła być zabójczą, w tym ga-łuniek od obecnej dewaluacji, jest bez-wątpienia odpowiedzialność — i to w sensie społecznym — każdego feli-etonisty za swoje elaboraty. Coraz częściej spotyka się, zwłaszcza w pismach li-terackich, felietony kreślone tylko na użytek pewnego, wąskiego kręgu czy-telników — by wypowiedzieć wyrzut do końca — dla klanu znajomych, przy-jaciół i wrogów felietonisty. Tak! felieton okazuje się zazwyczaj pisany sztyfem, to znaczy — naszpikowany isticie kawiarnianymi realiami, aluzjami i dowcipami, zrozumiałymi tylko dla wtajemniczonych, a nieraz i dla nich nudnymi i niestrawnymi. Oczy-wiście, felieton może, a nawet powin-nien być orzeźm w walce i taką, bar-dzo zresztą celną, bronią były i są do dziś słynne felietony obyczajowe Boya. Jednakże w wielu obecnych felieto-nach z gatunku, jak się wyraziłem, „kawiarnianego” nie chodzi zazwyczaj o walkę z pryncypiami i o pryncypia, nawet nie o bodaj drobny, lecz kon-kretny i wartościowy społeczny cel — ale o najnormalniejszą osobistą plot-kę, „rozróbkę”, która poza bezposred-nio zainteresowanymi nie obchodzi nikogo, a już najmniej tzw. „szerego” czytelnika, traktującego periodyk kul-turalny tak, jak powinno się go trak-tować: jako źródło rzeczowych, cieka-wych i prawdziwych wiadomości o życiu i świecie, o sztuce i kulturze. I tutaj znowu wypada westchnąć do „Kronik Tygodniowych”...

Sporo gatunków literackich przeży-wa dziś — używając modnie profes-ytycznego słowa — kryzys, nie ominął on i felietonu. Jeśli jednak np. w po-wieści ów kryzys wynika z zużycia i nadużycia wypracowanych przez antenatów tego gatunku środków artystycznych — z felietonem jest odwrotnie: karleje on wskutek kary-godnego marnowania tkwiących w nim szans społecznych i artystycznych oddziaływania, wskutek rozmiękania ich na drobne sztapły, banatu, nie tylko literackiej tandety. Stąd naj-smutniejszy paradoks tak przecież lubiącego paradoksy i tak związanego ze współczesnością felietonu; by go odmłodzić — trzeba się zwrócić do przeszłości, do autentycznych felieto-nistów z krwi faktu i kości talentu — do Dickensa, Prusa, Boya...

Zbigniew Pędziński

BRAMA KRAKOWSKA W LUBLINIE

HENRYK GAWARECKI

D DWOCH lat Brama Krakowska — chyba najpopularniejsza budowla Lublina — poddawana jest zabiegom renowacyjnym i badaniom konserwatorskim. Nie remontowana od dłuższego już czasu wymaga obecnie przeprowadzenia różnorodnych robót. Prace te śledzone są i dyskutowane z ożywieniem przez obywateli naszego miasta, warto przeto przypomnieć niostanie budowę Bramy Krakowskiej i zmian, które przechodziła na przestrzeni wieków.

Dokładna data jej budowy nie jest znana, nie zachowały się bowiem najstarsze księgi miejskie. Janko z Czarnkowa, podkanclerzy Kazimierza Wielkiego, pisze, że król ten opasał Lublin murami. Miało się to stać po rozbiciu dla miasta najazdy Tatarów w 1341 r., ale oczywiście nie jest wiadome, jaki wygląd miała pierwotnie Brama. Prowadzone ostatnio badania konserwatorskie pozwoliły na ujawnienie nie znanych dotychczas szczegółów co do etapów budowy i wysunięcie pewnych przypuszczeń co do jej dawnej postaci.

Gdy w połowie XIV w. miasto otoczone zostało pierścieniem murów obronnych, jego układ urbanistyczny był już w zasadniczym zrybie skryształizowany i w związku z tym położenie bram i furt w murach było z góry narzucone. Brama Krakowska znalazła się u wlotu traktu z Krakowa do miasta. Ponieważ teren wzgórza staromiejskiego przechodził w tym miejscu w płaszczyznę ciągnącą się ku zachodowi, należało budując mury wykopać przed nimi głęboką fosę oraz usypać wał.

Brama otrzymała kształt graniastosłupa o podstawie zbliżonej do kwadratu o długości boku około 10,5 m, grubości murów dochodzącej do 3 metrów i o wysokości wynoszącej ponad 20 metrów. W dolnej części mury stawiane były z kamienia i cegły; w elewacjach zewnętrznych prostokątne ciosy piaskowca tworzyły z cegła barwną żółtoczerwoną szachownicę. W gor-

nej części występowała jedynie gotycka cegła — gruba, o intensywnym czerwonym zabarwieniu. Dla urozmaicenia wyglądu ścian niektóre cegły miały glazurowaną powierzchnię, w ten sposób na fasadzie tworzyły się ukośne pasy, ciemniejszych łśniących w słońcu główek. Wszystkie te opisane szczegóły budowy stały się widoczne dopiero po odbiciu z elewacji zewnętrznych Bramy tynków, którymi pokryto ją w XVIII wieku.

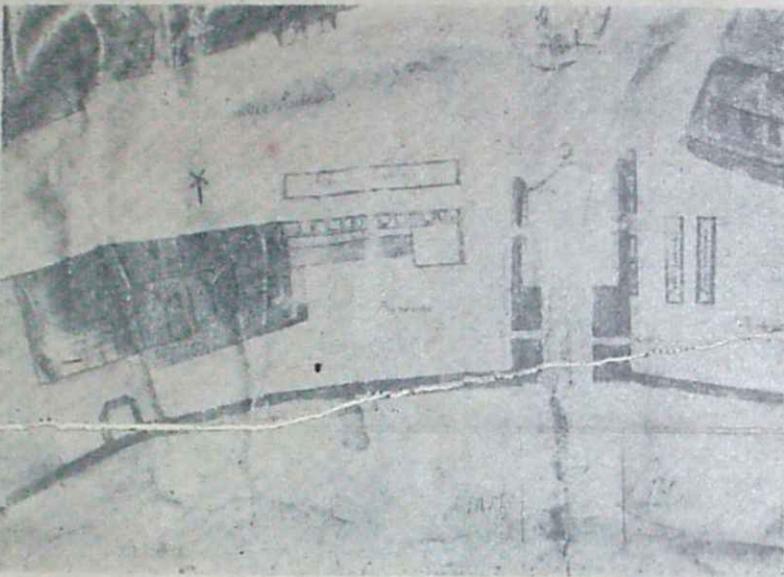
Wnętrze Bramy podzielone zostało na szereg kondygnacji drewnianymi belkowymi stropami, komunikację wewnętrzną tworzyły szerokie drabiny lub schody. Odpowiednikiem podziału wnętrza były na zewnątrz otwory strzelnicze znajdujące się w zewnętrznych narożach Bramy — w elewacjach północnej, zachodniej i południowej. Oczywiście z czasem strzelnice poprzerałano na zwykłe okna i jedynie starannym i ostrożnym pracem badawczym zawiądzamy odszukanie dużego fragmentu oryginalnego otworu strzelniczego, który pozwalała na właściwą rekonstrukcję pozostałych strzelnic.

Jak zwieńczony był pierwotnie korpus Bramy? Niestety późniejsze przeróbki i nadbudowa zatępiły wszelkie ślady. Należy przypuszczać, że mury zakończone były obronnym krenelażem z obeliskiem dla zalogi, spiczasty namiotowy dach — pobity zapewne gontem — nakrywał całość. Takie właśnie zwieńczenie posiadała Brama Grodzka jeszcze w połowie XVIII wieku.

Potrzeba wzmocnienia systemu obronnego miasta spowodowała, że zapewne — jeszcze w epoce gotyku, w XV w. przed Bramą wystawione zostało przedbramie, sięgające do połowy jej wysokości, opatrzone kilkoma kondygnacjami strzelnic i zwieńczone krenelażem. Wsunięte przed właściwy korpus Bramy zwiększała jej obronność, umożliwiając prowadzenie ognia flan-



Widok od ulicy Jezuitkiej, w 1953 r.



Fragment planu Lublina z XVII w.

kowego, nie dopuszczającego nieprzyjaciół do murów.

Dokładniejsza data budowy przedbramia trudna jest do ustalenia. Odbicie tynków z lica jego murów pozwoliło stwierdzić, że watek ceglany jest niejednolity, ale wśród późniejszych wstawek można odnaleźć również grubą gotycką cegłę ze śladami tak charakterystycznego dla średniowiecza spoinowania fug. Wątpliwości budzą jednak górne części murów przedbramia, stosunkowo cenniejsze, jak na ich funkcje obronne. Gdyby nie to, że przedbramie pokazane jest na najstarszym planie miasta z około 1650 r., można by przypuszczać, że mury strzelnicze są raczej dekoracją neogotycką, a nie istotnym pierwotnym elementem architektonicznym.

Przedbramie posadowione zostało na terenie już istniejącej fosy i fundamenty jego leżą o około 5 m poniżej fundamentów właściwej Bramy.

Dalsze zmiany w wyglądzie Bramy Krakowskiej miały miejsce w końcu XVI w. W nocy z 6 na 7 maja 1575 r. krótki pożar, który wszczął się przy ul. Grodzkiej, zniszczył znaczną część miasta, w tym również Bramę. Naoczny świadek pożaru, poeta Sebastian Klonowicz opisuje iż spaliła się ona zewnątrz i wewnątrz.

„Zniszczone przytem zostały: zegar doskonały, należące do wieży, piękne zabudowania, ganki, balustrady, strażnice, mieszkania straży i trębaczy, którzy za pomocą trąby ogłaszają każdą godzinę, schody: uległ również załadzie jej wierzchołek w formie kopuły, pokryty blachą ołowianą, na szczycie wieży przytwierdzona była wielka szczerozłota galka, od której odbijał się promienie słońca dając odblask ognisty...”

Odbudowa nie trwała długo, ale zapewne wówczas, część osmioboczna podhelmowa

W „Życiu Warszawy” na przedostatniej stronie, w ogłoszeniach drobnych dotyczących kupna i sprzedaży nieruchomości, zamiany lokali i mieszkań, znajduje się również rubryka pod nazwą „Różne”. Kolumną tego działu interesują się od lat. Z pasją śledzą anonsy drobnym piętrem wypisane, w których mieści się wielki odcinek obyczajowości Warszawy. Tu można kupić, sprzedać, zamienić, pożyczyc! Tysiące okazji. Ludzie wyjeżdżają, zmieniają tryb życia, umierają.

To co było koniecznością, czyjąś pasją, czy nawet miłością, zostaje zlikwidowane i wchodzi w konfigurację innych wydarzeń, innego otoczenia, innego życia.

Z ciekawością przypatruje się tej wąziutkiej szpalcie drukarskiej, po której prawie bez ustanku wędruje troska ludzka o los jakiejś drogiej osoby zaginionej.

Wyszła tego a tego dnia z domu, tak a tak była ubrana. Dokładny rysopis, wzrost, kolor włosów, znaki szczególne.

Ktokolwiek wiedziałby.

Ktokolwiek zetknął się w czasie działań wojennych, w powstaniu, w wojennej wędrowce, w takim a takim pułku, w obozie, w więzieniu, w getcie warszawskim

Bezustannie nawoływania, nieprzerwane nadzieje, chciań lata mijają.

Inne głosy kołają do sumienia ludzkiego, po stracie drogiej pamiętki. Proszą o zwrot, wyznaczają nagrody. Jakże wysokie bywają takie nagrody, w wypadku zaginięcia psa ukochanego. Ile czułości przywiązania można wyczytać wówczas w tych drobnych literkach. Ile smutku, a nawet rozpacz.

W tej rubryce codziennych wydarzeń ludzie się wzajemnie oskarżają. Mąż ostrzega:

Za długi mojej żony nie odpowiadam.

Zona:

Za długi męża mojego nie odpowiadam.

Ktoś kogoś potrącił, ktoś kogoś przeprosza, wyznacza spotkanie, wzywa świadków zdarzenia, które miało miejsce w oznaczonym dniu. Rozlega się czyjś okrzyk, wołanie — bezustanna samotność istot nieznanych.

Pomiędzy tym wszystkim przesuwają się przed naszymi oczyma, różnorodne warsztaty, kipiące życiem.

Przeróbki, reperacje, odnowienia starej garderoby, dzieł sztuki, kosztownych tkanin.

Skleja się stara porcelana, odnawia obrazy, werniksuje. Podnosi oczka, artystycznie ceruje.

RÓŻNE

IRENA PARANDOWSKA

Kliniki lalek wracają dzieciom ich uzdrowione pigułki.

W wypożyczalniach ślubnych sukien można się zaopatrzyć w wykwitne modele zagraniczne, stylowe koronki i tiule. Można również wypożyczyć wspaniałą zastawę na ucztę weselną.

Rzemiosła różnorodne ofiarowują swoje usługi. Zaskakują nas bogatym słownictwem. Każda śrubka ma swoją nazwę. Precyzja tej terminologii oszołama i utwierdza w przekonaniu, jak ubogi w gruncie rzeczy jest język inteligenta, którym posługuje się w potocznej mowie.

Nic nie rozumiem z ogłoszeń „Farbochemii”.

Nie mam pojęcia na czym polega farbowanie kratów — film drukim. Nie wiem, po co wytwórnia chemiczna poszukuje młynka do mielenia minerałów. I co oznaczają słowa polecające: „Lakiery, miotkowy plastyczny nitro”.

Albo ktoś to wie, ktoś pójdzie, nabędzie, pofarbuje, zaopatrzy się. Mnie natomiast nieci takie ogłoszenie: „Bezpłatnie artystycznie naprawiam co dziesiąty płaszcz przeciw deszczowy. Specjalistyczny”.

Chętnie skorzystałabym, ale jak utrafił, w jaki sposób stać się dziesiątą? Przypomniała mi się pewna reklama rozwieszona w nowo utworzonym zakładzie fryzjerskim na prowincji.

„Jutro gołą zadarmo”.

Następnego dnia napływali klienci. Po goleniu, które odbywało się za aksamińną kotarą, gość zadowolony sięgał po kapelusz i dziękował.

Golbroda wyciągał rękę po zapłatę.

Przecież napisane wyraźnie: „Jutro gołą zadarmo”.

— Słusznie — odpowiadał golarz — jutro — nie dziś.

Nie było rady, trzeba było uiszczyć należność.

365 dni w rubryce „Różne” to przebogaty materiał. Jeśli uzupełnić to komentarzem i wnioskami, wynikłoby z tego olbrzymi elaborat.

Czasem pozornie nic nie znacząca notatka podziela na wyobraźnię pisarza. Jakis akcent, załączek myśli w niej zawarty, zaprząta jego umysł i powoli doj-

rzewa koncepcja całego dramatu, czy powieści. Jestem przekonana, że w szczupłych ramach na tej przedostatniej stronie jest tematyka tak różnorodna, że posłużyć może do wszelkich rodzajów literackich, nie wylęczając romansu kryminalnego.

Mogłabym zacytować setki przykładów. Jeśli tego nie czynię, to ze względu na autorów owych anonosów, których skromne intencje na pewno nie mają tak wygórowanych aspiracji i nie wiem, czy byłiby zadowoleni z takiego obrotu rzeczy. Albo wyobraźnia nie zna hamulców, skokarzenia również.

Ktoś poszukuje pożyczki wielotysięcznej — w zamian zaopiekuje się sprawami osoby samotnej.

Samotność w takiej czy innej formie nie schodzi z lam tej kolumny. Ona odwołuje się często do serca ludzkiego i ona także często zostaje wysłuchana. Świadczą o tym liczne podziękowania, za słowa, rady, lekarstwa, za bezinteresowne leczenie, za opiekę, za głębokie współczucie, za pomoc, za wyratowanie, nawet za zrozumienie.

Jakis człowiek w okolicy nikomu nie znany wyściągł dziecko ze stawu kiedy już tonęło, i poszedł sobie dalej, rodzice proszą o jego nazwisko i adres.

Podobne rzeczy spotyka się bardzo często. To są te dyskretne bohaterstwa, o których nikt nie wie. Ale trzeba o tym pamiętać, że obok chytrości, wyzysku i chciwości, istnieją również ludzie, którzy hojnie rozdają swoje cnoty dookoła, nie wymieniając ich na inne wartości.

Byłam długi czas pod wielkim wrażeniem takich słów:

„Ktokolwiek wiedziałby coś o osobie znajdującej się w roku 1911 w miesiącu sierpniu, (gdzie — dokładnie podane), proszony jest o wiadomość...”

To wszystko. Żadnych szczegółów. Tylko ten fakt. A więc osoba poszukująca i osoba poszukiwana przez ten cały czas nie były ze sobą w żadnym kontakcie. Był jakiś moment decydujący. Ten moment przechowywał się w pamięci tego kogoś, poprzez dwie wojny, poprzez straszliwe kataklizmy dziejowe i odezwał się pół wieku później jeszcze z nadzieją w głosie.

Bardzo charakterystyczne. Dla polskiego narodu, kraju, a przede wszystkim dla Warszawy. Dlatego twierdzą, że w tej rubryce „Różne” mieści się wielki ładunek dynamizmu i witalności naszej stolicy. Dzień powszedni nie jest łatwy, trzeba go zdobywać w trudzie i znoju. Ale jest jakaś odradzająca się siła, która potrafi zwalczać te trudności, a przede wszystkim nieustępliwa wiara i nadzieja, że jutro będzie lepsze. Ta siła odbudowała Warszawę.

PROBLEMATYKA kultury żywego, „mówionego” języka oraz samej wymowy, usuwania jej wad i zapobiegania im, a także jej kształcenia, należy u nas dotychczas do spraw zaniedbanych. W naszych warunkach ustrojowych, których fundamentem jest zapewnienie każdemu człowiekowi maksymalnych praw rozwoju i udziału w życiu społecznym, sprawy te mają jednak ogromne znaczenie.

Wady wymowy są poważnym czynnikiem hamującym prawidłowy rozwój dziecka, powodują powstawanie na tym tle różniakich uciełek i kompleksów, przynajmniej izolację jednostki od otoczenia. Poza tym istotną są także problemy nauki mowy głuchych (których w Polsce Związek Głuchych skupia ok. 30 tysięcy), a także rehabilitacji mowy u tych osób co na skutek różnego rodzaju wypadków straciły niektóre z naturalnych narządów mownych.

Dlatego z uznaniem należy powitać inicjatywę wydawania „Logopedii”, której pierwszy numer ukazał się już we wrześniu zeszłego roku. Obecnie mamy do odnotowania następną jej zeszyt. Spotykamy w nim artykuły: Miłosiława Seemana (Czechosłowacja) „Rehabilitacja głosu i mowy po wycieciu krtani”, Bogdana Adamczyka „Próba wyjaśnienia mechanizmu jankania”, Leona Kaczmarska „O radzieckiej logopedii” oraz szereg recenzji. Zasiłuje na podkreślenie faktu, że młode wydawnictwo stara się szeroko korzystać z doświadczeń zagranicznych i zyskuje stamtąd wybitnych współpracowników.

Oba zeszyty „Logopedii” skupiają się dotychczas wokół zagadnień, które w problematyce kultury żywego słowa zajmują podkreślone, odrębne miejsce wokół walki z wadami wymowy. Wiąże się z tym sprawą przygotowania wychowawców i rodziców do tego zadania, kształcenia kadr specjalistycznych i podejmowania badań naukowych. Należy tu u nas poważnie trudności wskutek braku obszerniejszej literatury fachowej i specjalnego ośrodka naukowo-badawczego, wyższej uczelni czy choćby katedry uniwersyteckiej. Ukazanie się „Logopedii” jest więc w tym zakresie poważnym osiągnięciem.

W obu zeszytach brak jednak dotychczas publikacji, które zagadnienia kultury żywego słowa ujmowałyby w ich podstawowym, a nie leczniczo-zapobiegawczym znaczeniu. Przyczyniłoby się to z pewnością do większego nią zainteresowania nie tylko ze strony fachowców i pedagogów, lecz także szerszego kręgu czytelników. Żywy język jest przecież najpełniejszym świadectwem rozwoju społeczeństwa i tradycje jego kultury należy kultywować i upowszechniać. Licząc zatem, że wydawnictwo obejmie w szerszym stopniu krąg swoich zainteresowań, wyższej uczelni czy choćby katedry uniwersyteckiej, należy złożyć jego inicjatorom słowa uznania za realizację potrzebnego zamierzenia.

woj.

„Logopedia — Zagadnienia kultury żywego słowa”. Red. Leon Kaczmarski, Nr 1, Lub. Spółdz. Wyd., Lublin 1960; Nr 2, Wyd. Lubelskie, Lublin 1961.

miał wiele kłopotów z żoną. Miałem wprawdzie nielicznych obrońców. Wymienię tu przede wszystkim krytyka „Robotnika” ojca Kisiele. Zygmunt Kisielewski bardzo pochlebnie wyraził się o moim utworze i energicznie stanął w mojej obronie. Autor i krytyk Miłaszewski też dał bardzo życzliwą choć lakoniczną ocenę. Zagadkowi była krytyka w „Kurierze Warszawskim” świetnego felietonisty J. Rabskiego. Rozprawiał się ze mną ostro aż w 2 długich artykułach! Po 2 tygodniach spotykałem go w sekretariacie teatru. Podchodził do mnie, całuje i przeprasza za niesprawiedliwą ocenę. Obiecuje błąd naprawić. Istotnie okazuje się w „Kurierze” trzeci artykuł, w którym zmienia to, co napisał — a to pod wrażeniem ponownego obejrzenia sztuki. „Jest w utworze Chelwickiego — pisał — to, co najważniejsze w sztuce: elektryczność teatralna”. Rabski w parę lat później umarł na raka. Rodzina wydała w książce jego felietony. Wydała dwa pierwsze o mnie. Nie wydała trzeciego. Czy tak można?

Jak wypadła strona finansowa? Za przedstawienia w Warszawie otrzymałem należność w częściowo zdewaluowanej już walucie. Kiedy w końcu 1921 roku zgłosiłem się do dyrekcji teatru lubelskiego po należne mi honorarium, odpowiedziano mi, że „ktoś” zgłosił się z moim jakoby upoważnieniem i należność podjął. Proce-sować się nie było sensu wobec ciągłego spadku waluty. Artysta scen warszawskich Lenczewski wraz z artystką Borzewską bez porozumienia ze mną objechali prowincję nie zapłaciwszy mi grosza. Dopiero później powstały „Zalks” ukrócił to korsarstwo. Po tych przeżyciach zajęty zawodową pracą długie lata nie pisałem. Dopiero po 16 latach, po drodze do podniecających wyobraźnię Włoch, napisałem 3-aktową sztukę, którą dyr. Zelwerowicz zakwalifikował do wystawienia w Teatrze Narodowym, a znany dramaturg Cwojdzinski podjął się reżyserować. Niestety wybuchła wojna i egzemplarze sztuki sponęły w Warszawie.

kwisną w 1836 r., kiedy to Komisja Województwa Lubelskiego postanowiła wystąpić z wnioskiem do Komisji Rządowej, aby wieże — jako niebezpieczeństwem grożące — znieść całkiem. Do realizacji tego pomysłu nie doszło, ale w 1875 r. sprawa ta znów odżyła, tym razem w prasie. Polemika toczyła się na łamach „Kurjera Lubelskiego” i dotyczyła zburzenia Bramy. Zdania były krainowo przeciwne, ale oczywiście przeważały walory historyczne i architektoniczne obiektu.

Dziś staranne roboty remontowe jeszcze trwają i najbliższe miesiące dotrąca do dotychczasowych wiadomości o Bramie szereg nowych szczegółów.

Przypisy:
1. Dzwon ten uszkodzony podczas działań wojennych 1944 r., znajduje się dziś w Muzeum Lubelskim. 2. Biblioteka im. H. Łopacińskiego w Lublinie — Księga pośledzeń Magistratu m. Lublina w 1630 r. eksp. nr 511 s. 62. 3. Daniel Bratkowski „Świat o czeski przejrany...”. Kraków 1897. 4. Rabinin J. Lauda miejskie lubelskie XVII wieku — Lublin 1935, s. 196 nr 224. 5. WAP Lublin — Adreタリア Lub. 32 f. 10. 6. Kurjer Lubelski — 1875 nr nr 75 i 80.

Henryk Gawarecki



Monogram Stanisława Augusta z datą wieńcem i ozdobą Bramy.

Renowacja Bramy dokonana za czasów Stanisława Augusta, pozostawiła do dziś widoczny znak — monogram SAR i datę 1782 — na samym szczycie wieży.
Na przełomie XVIII i XIX w. zachodziły w otoczeniu Bramy zasadnicze zmiany. Zaczęto burzyć przylegające mury i baszty i powstałe w ten sposób wolne place zabudowywać. W związku z tym ulegała również przekształceniu dotychczasowa komunikacja z różnymi kondygnacjami wieży. Stanowiły ją pierwotnie nakryte daszkiem drewniane schody — przy południowej fasadzie Bramy — prowadzące do sklejonej izby przeznaczonej dla straży i trebaczków. Gdy z czasem postanowiono urządzić w przedbramiu dodatkowe pomieszczenia dla załogi, wybudowano w nim strop nad przejazdem i nakryto dachem. Komunikację z tymi izbami stanowiła długa szczyta korytarza, umieszczona w grubości murów północnej ściany Bramy. Kiedy zewnętrzne schody postanowiono rozebrać, wybudowano nowe w przesklepionym przedbramiu, w miejscu, gdzie znajdują się do dzisiaj schody.

Poważna groźba zawisła nad Bramą Kra-

wniszczoną pożarem wystawiono na nowo, jak by na to wskazywały wymiary użytej cegły. Część ta była od razu — zgodnie z wymogami ówczesnego stylu — otynkowana i dlatego dziś dla pokazania kolejnych stadiów przebudowy Bramy widzimy ją pokrytą tynkiem. Nowo założony zegar otrzymał w 1585 r. piękny dzwon godzinowy wykonany przez odlewnika Aleksandra. Wiele troski poświęcały zegarowi władze miejskie. Opiekę nad nim sprawował specjalny urządnik nazywany w aktach — dyrektorem zegara miejskiego (Director Horologii Civitatis) — był nim w 1650 r. sławny Adam Medejowicz. Dyrektor nie wywiązywał się chyba nazbyt sumiennie ze swych obowiązków, jeśli we frasce Daniela Bratkowskiego „O zegarze lubelskim” czytamy:

Wszędzie częstokroć myślą się zegarze,
Lecz te w Lublinie najpocowniejsze
igarze... 4)

O tym, iż Brama wymagała w tym czasie przeprowadzenia remontu, informują uchwały rady miejskiej. Uchwała z maja 1673 r. mówi o sprzedaży miedzianej blachy z wieży Bramy Krakowskiej i o użyciu kwoty uzyskanej na restaurację tejże. Wizja Bramy dokonana w 1743 r. przez cechmagistra Ma-

Fragment południowej ściany Bramy z widoczną szachownicą układu ciosu kamiennego i cegły.



Kiedy po 4-letnim pobycie w armii rosyjskiej podczas pierwszej wojny światowej i w niewoli powróciłem w końcu roku 1918 do Warszawy i za siadłem w Matecznym foletu na ul. Foksal — czułem się naprawdę szczęśliwy. Przebywanie wśród pamiętek znanych mi z lat dziecińczych, wygodny miękki fotel, świadomość bezpieczeństwa, a potem powitanie z Matką — to była rozkosz, którą trudno opisać. Jeśli zestawić tę chwilę z kontrastem mizerii, jaką się przeszło — uznać to muszę za najradośniejsze przeżycie w moim życiu. Wracalem z odznaką Jerzego, ale schorowany, z uszkodzoną ręką. Byłem jednak wtedy młody i pełen nadziei.

Pamiętam dobrze Lorentowicza. Wiedziałem, jak by to było niedawno, twarz dyrektora podczas przyjęć i ten tak charakterystyczny skurek ironiczny oczu, który mnie niepokoił, a do którego z czasem przywykłem. Po raz ostatni odwiedziłem Go w przeddzień śmierci, której się nie spodziewałem. Był jakby zagniewany. Witaj śmierci hardo, z podniesioną głową.

Dopiero na początku roku 1921 mógł Osterwa przystąpić do wystawienia mej komedii pt: „Wojna i miłość”. I znów trafiliem na człowieka, który miał piękne cechy mej Matki. Wylapywał lepsze fragmenty sztuki i im w rozmowie poświęcał główną uwagę. Entuzjazmował się nawet kre-

górski. Na ścianie wisiał portret Osterwiny pędzla Pruszkowskiego.

Zajęty pracą na prowincji nie mogłem niestety brać udziału w próbach. Poznałem jednak w tym czasie w Reducie kilku wybitnych pisarzy. Przeglądałem się uważnie zachowaniu Zeromskiego podczas prób jego sztuki pt: „Ponad śnieg bielszy”. Zauważyłem u niego niezwykłą pobudliwość nerwową. Zeromski milczał i polykał łyż. Szaniawski miał ustaloną opinię, którą kiedyś lapidarnie określił buchalter teatru: „Z tym człowiekiem trudno się dogadać, gdyż posługuje się w mowie tylko monosylabami”. Ze starszego pokolenia dramaturg Kozłowski, który wkrótce potem tragicznie zakończył życie, polecał mi: „Pamiętać należy o radzie wielkiego Schillera, który przede wszystkim zalecał zdobyć dobrą anegdotę”. Rogowicz, właściciel diabelskich oczu i brody nie tak pięknej jak Lorentowicza, witał mnie zawsze w sekretariacie uśmiechem nie zapożyczonym od szatana. Kiedy po skończonym przedstawieniu publiczność darzyła mnie „długie nie milknącymi oklaskami”, wydawało mi się, że odniosłem pełne zwycięstwo. Nie doceniałem wówczas olbrzymiej zasługi reżysera i artystów. Przyszłość dopiero miała mi przynieść rozczarowania. Sztuka cieszyła się jednak znacznym powodzeniem. Miała 60 przedstawień. Była też grana w większych miastach kraju.

Krytyka była tym przysłowiowym kulem zimnej wody na głowę początkującego autora (nie tak już młodego, gdyż miałem wówczas 34 rok życia). W wydanej ostatnio książce P. Małkowskiej pt: „Wspomnienie z Reduty” cytuje autorka na str. 191 słowa wyjęte ze stenogramu przemówienia Juliusza Osterwy na posiedzeniu Towarzystwa Przyaciół Reduty (marzec 1924 r.) pod przewodnictwem Zeromskiego: „Przeszliśmy następnie do „Miłości i wojny” Chelwickiego, w dekoracjach i kostiumach Nagórskiego. Dekoracja była wykonana architektonicznie. Był to pierwszy utwór tego autora. Krytyka obeszła się z nim okropnie. Jestem przekonany, że tym wyrządziła wielką szkodę, gdyż podcięła talent niewątpliwie”.

Osterwa, chociaż nikomu nie zwierzałem się ze swych ówczesnych przeżyć, odgadł, co działo się w duszy człowieka, którego system nerwowy odbiegał znacznie od normy. Przejąłem się bardzo, na pewno za bardzo nie tyle krytyką, ile napastliwym tonem, często obraźliwymi wymysłami potentatów prasy, o których względy nie zabiegałem. Jeden z krytyków z „Gazety Warszawskiej” nawymyślał mi niemal od chamów. Przypuszczałem że była to zemsta małżonka, który

ską, którą stawiałem w dialogu zamiast odpowiedzi, nie chcąc popełniać jednego więcej banalu... Był to prawdziwy entuzjasta, w którego oczach nie dojrzałem ironii. Kiedy leciwa już artystka prosiła go, by pozwolił jej zagrać rolę młodej żony w „Małym domku” Rittnera, wyraził zgodę, twierdząc, że skoro tak gorąco pragnie, to musi ją dobrze zagrać. I zagrała dobrze, ale nie wyglądała dobrze, a przecież widzę, że niewolnikiem zewnętrzności”. Nie był nim Osterwa.

Na pierwszej próbie Osterwa wypowiedział swój sąd o sztuce, postaciach, rolach itd. Potem zwrócił się do mnie, bym i ja coś powiedział. Odparłem: „Pan wie więcej o sztuce ode mnie, więc cóż ja mogę powiedzieć”. Istotnie tak było. Obdarzony niezwykłą intuicją i inteligencją ten niezwykły człowiek wiedział więcej od autora. Rolę kochalcę grała Osterwina. Pełna wdzięku i finezji może za mało była „kobietą”, dla której przyprawienie rogów kochającemu ją mężczyźnie nie było dramatem. Maszyński był świetny w roli Anglika, chociaż dał nadwisiańską odmianę tego pozorowego flegmatyka. Kiedy zwróciłem mu uwagę, że nie powinien się śmiać z własnych dowcipów, odpowiedział mi swym żarliwym uśmiechem. To było ponad jego siły nie śmiać się kiedy zdarza się okazja. Różnicy w roli uwodziciela czuł się znakomicie. Może za mało przejął się rozkazem wymarszu, który przeszkodził mu dopełnić dzieła podboju. Gruźlik Snał doskonale pasował do roli męża. Piękne dekoracje projektował architekt Na-

Mój debiut w Reducie

WŁODZIMIERZ CHELMICKI

Już w niewoli snuł mi się pomysł komedii. Obecnie mogłem przystąpić do jego realizacji. Pisałem nerwowo, niecierpliwie. Mateczko, które niezasiadło nie kochało mnie znacznie więcej niż siebie samą, przepisywało te bez mała nieczytelne bągoty. Chwalilia. Rzadko tylko nieśmiało ganiła. Taka już była nie tylko w stosunku do mnie ta istota absolutnie dobra. Te pochwały były mi bardzo potrzebne w nawiedzających mnie często momentach upadku ducha. Kiedy swoje pierwiociny zaniósłem ówczesnemu dyrektorowi teatrów miejskich J. Lorentowiczowi, przyjęty zostałem życzliwie, lecz jak mi się wydawało po tym Matecznym rozpieszczeniu — chłodno. Po przeczytaniu znanej krytyki o imponującej postawie sztuce pochwalił i zapewnił, że ją wystawi, jeśli jednak lepiej ją opracuję. Jeszcze parokrotnie musiałem sztukę opracowywać na żądanie dyrektora, który nie dawał się w detale utworu, lecz odprowadzał z niezmiennym stanowieniem: jeszcze raz. Pocięszalem się historyjką Maupassanta, który 10 lat nosił do oceny nowele wujaszki Flaubertowej, a ten witał go gestem w stronę kosa do wyrzuconych papierów. Dopiero bodaj za piątym widzeniem oświadczył mi dyrektor, że sztukę odda Osterwie do wystawienia w Reducie. Chwalił dialog i poczucie humoru, rzadko spotykane u polskich współczesnych pisarzy. W tym czasie dawał mi często do oceny sztuki współczesnych autorów francuskich. Wdzięczny za okazaną mi więcej niż życzliwość zachowałem do końca życia przyjazny z nim stosunek.

Nie można żyć wyłącznie sztuką poważną

LESZEK GZELLA

Na fali październikowych przemian przyszło odrodzenie sztuki kabaretowej. Sztampowe imprezy estradowe zamieniono na programy stricto sensu teatrów satyrycznych. Wreszcie przekonano się, że człowiek musi czasem śmiać się bez troski, szczerze, pełną pierśią, co wcale nie znaczy, że pod dachem kabaretów nie ma miejsca na myślenie. Okazało się nawet, że wiele kabaretów uprawiało z powodzeniem ambitną satyrę polityczną, dającą większy efekt, niż dobra nawet prelekcja na temat aktualnych wydarzeń. Siła kabaretu jest nieobliczalna.

Lublin nie pozostał na uboczu tego ogólnego nurtu. Rozpoczął się tu również ferment w rozmaitych środowiskach, a zwłaszcza w studenckich. Myślę tutaj o Akademii Medycznej i „Drenie 56”, jako że prawnicy czy medycy w tym względzie wykazują zawsze najwięcej inicjatywy, zdecydowanie wyprzedzając wszelkiego rodzaju humanistów, którzy w swej ogromnej masie nie przesła poczuciem humoru.

„Dren 56”, którego kierownikiem od początku istnienia zespołu był Jerzy Beer, stanowią teatrzyk o dużych ambicjach i tekstowych, i aktorskich. Na warsztat brano nie tylko utwory cenionych autorów (Tuwim, Galiński) oraz... swoje własne. Z tymi ostatnimi było znacznie gorzej i wszelkiego rodzaju zarzuty, np., że są przedniektualizowane, miały w zasadzie inne jeszcze podteksty. Chodziło nie tyle o komunikatywność, ile o literacką wartość. Ale nie tu miejsce na ocenę. „Dren 56”, który swoją działalność — jak na razie — zawiesił chyba na gwoździu w gabinecie rektora AM. Medycy, którzy przez szereg lat mieli wiele trudności z przekonaniem władz uczelni, że nie zdrożnego nie stanie się, kiedy wystąpią ze swym teatrykiem poza gmachem Akademii, teraz ukończyli już studia, są chyba na tzw. stażu i zamiast kontynuować pracę w „Drenie” przysparzają chwały kabaretowi „Czart”. Jest to drugi udany teatrzyk kabaretowy w Lublinie. Jego rodowód znajdziemy w sferach dziennikarskich. Powstał z inicjatywy Władysława Cwika, Andrzeja Malinowskiego, Ryszarda Nowickiego.

Po trzech programach, wykazujących się różnym poziomem, „słomiany ogień” wygasł. Całe szczęście, że na krótko przed końcem br. „Czart” wznowił swą działalność pod kierunkiem Tytusa Wilskiego. Wprawdzie nastąpiły ogromne zmiany personalne, ale obecny kabarecik świadomie kontynuuje działalność protoplasty i w wielu wypadkach nawiązuje do niego. Od początku (obecnie odbyło się już łącznie 5 programów) współpracuje z „Czartem” pisząc teksty lubelski satyryk Władysław Cwik. Od czasu do czasu napisze też coś niecoś Mirosława Knorr. Zywot utworów satyrycznych, zwłaszcza dla użytku kabaretu, jest nader krótki, nie wykracza nigdy prawie poza aktualność chwili, toteż niektóre tylko teksty mają zapewnione dłuższe życie. Ale w końcu nie o to chodzi. Ważne jest to, że „Czart” potrafi — raz lepiej, raz gorzej — zabawić, rozśmieszyć, „rozerwać” widza lubelskiego, który powoli zaczyna przyzwyczajać się do tego teatrzyku.

Ostatni program poświęcony jest lubelskiej telewizji („Tele-ferre-kuku”). Sam już pomyśl „zjechań” tego tematu zawiera w sobie moc humoru, szczególnie skoro się zważy, że żadnego programu telewizyjnego Lublin jeszcze nie ma i długo mieć nie będzie, chociaż wszelkiego typu „oprymienie” uparcie twierdzą od wielu miesięcy, że już, już...

Dobry jest teatrzyk eksperymentalny „Czart”, który przygotował już trzy programy; „Weselo” (Wyspiańskiego, ale „prowianowo”), „W Lunaparku” (tekst Tuwima), „Ballady i niuansy” (Mickiewicza, „poprawione ze skutkiem” przez Władysława Cwika). Osobne miejsce należy się „Suicid ludowej” — „wielkiemu widowisku” znad kanału Wieprz-Krzna. Występują tu zamiast zespołu ob. Kaniorowej „Kosiarze — Boys and Girls” (muzyka Schreiera).

„Czart” nie pominał też okazji wyczerpania na swej estradzie takich możliwości, jak lubelskie historie obyczajowo-społeczne w postaci procesu przeciwko aferzystom w zakładach mięsnych. Jest też kilka dobrych „black-outów” (np. „Maciej” Osa w szopach) w IV cz.). Niezłe są piosenki, szczególnie dobra jest piosenka o Cioci Moor (muzyka R. Schrietera, tekst W. Cwika).

Ważne jest to, że kabaret „Czart” znalazł wielu zdolnych wykonawców. Danuta Wójtowiczówna to prawdziwy talent kabaretowy, bez niej „Czart” straciłby na uroku. Bardzo dobry jest też Jerzy Beer. Niezawodnie interpretował teksty Mirosława Derecki. Nie można pominąć Jana Welikę, odzwierciedlającego teksty z temperamentem, czy „Pietrka”, tj. Piotra Szczepaniaka z jego improwizacjami piosenkowymi (sam sobie akompaniuje na gitarze). Piosenki poza tym śpiewa Lucyna Sienkiewiczówna. Nie zawsze wyczuwa niuansy kabaretowej sztuki Leszek Kosiński. Akompaniuje Jacek Abramowicz.

W połowie przyszłego roku będziemy mieli możliwość przysłuchać „Czarta” z innymi polskimi kabaretami amatorskimi. Z inicjatywy bowiem Polskiego Radia w Lublinie j. „Sztandaru Młodych” odbędzie się w naszym mieście ogólnopolski festiwal amatorskich teatrzyków kabaretowych.

Przyznam się, że z oporem za brałem się do czytania tych wierszy: tyle ich napłynęło do redakcji z wszystkich stron Polski i choć pisane są przez różne osoby, sprawiają przeobrażenie wrażenia, jak by ta sama ręka wystukiwała je na maszynie — tak są do siebie podobne, tak mało w nich cech indywidualnych. No a czegoś się można spodziewać po ośmioletniej dziewczynce, której ni mniej, ni więcej tylko 117 utworów miałem przed sobą. To dopiero będzie grafomania! I to dziecica w dodatku...

A tymczasem spotkała mnie miła niespodzianka. W miarę, jak czytywałem się w te prymitywne, często gramatycznie, po częstochowsku rymowane zwrotki, w których pełno zdrobnień i spieszczeń, odsłaniał się przede mną uroczy światek dziecięcy. Bożenka S., bo tak się nazywa młodociana autorka, przebywa w zaczarowanej krainie, która niestety dla nas, ludzi trzeźwych, poważnych i dorosłych, zamknięta jest na cztery spusty. I czuje się tu pewnie, z całą swobodą obraca się wśród swoich zabawek, lalek, misiów i książeczek z obrazkami o których potrafi pisać naiwnie, ale szczerze, świeżo i nieraz naprawdę poetycznie.

„Moja laleczka złotowłosa / Nie jadła nigdy prosa, / Ale kiedyś spróbowała / I już wieciej — prosa nie chciała / ”. Albo: „Siedzi murzyn na szafeczce / W ślicznej niebieskiej czapeczce. / To właśnie Krystynka / Uszyła czapeczkę dla murzynka, / Więc murzynek zadumany / Myśli — nie ma lepszej mamy”... Ale oto: „Murzynkowi smutno się robi / Chciałby pojechać ku swemu krajowi, / Pozrywać chciałby trochę pomarańczy / I z krokodylem potańczyć, / Na słoniu pojeździłby chociaż troszeczkę, / I Poszedłby wykopać się nad rzeczkę, / A na upominek wysłał Krysi bananów / Za to, że była dobrą mamą”. Jak widzimy Bożenka (nieświadomie) używa nowoczesnych konsonansów i asonansów: zadumany — mamy, robi — krajowi, bananów — mama.

Ala mała dziewczynka chętnie wychodzi poza obręb swego pokoiku z zabawkami. I wtedy ze zdziwieniem chwyciła wszystko chłonnymi oczyma obejmując świat kwiatów i zwierząt, zmieniających się pór roku, łak, wód i lasów. Ileż poezji jest w dwuwierszu: „Latają motyle na łące, / Wąchają (podkreślenie moje) kwiaty pachnące”. Albo w tym „Bańki kwiatów”, gdzie „tańczy róża z tulipaniem, / A stokrotka z fiołkiem panem, / Wzięły się kwiaty za ręce / Podskakują, podskakują, / Żeby tańczyć jeszcze więcej, / A gdy bal ten zakończyły, / Do ogrodu pośpieszyły.” Albo o deszczu:

Widzi mi się

Strumień świeżości

„Deszczyk sypie jak kaszkę z nieba, / Ale od tego deszczu uciekać nie trzeba” (bo drobny i przelotny). O książkę: „Wyszedł księżyc na spacer, / Wziął ze sobą swój kuferek” (z ciastkami, które zjadł wszystkie i potem:), „Usiadł sobie księżyc na chmurze / I spogląda ku górze”. Albo: „Lecą ptaszki pod niebem wysoko, / Kto zobaczył małe ptaszki, / Ten ma dobre oko. / Ptaszki z góry widzą wszystko, / Nawet na Krakowskim z książkami stoisko”. A o zajęczkach: „Pasą się zajęczki / U zielonej łąki / I jedzą marchewkę, / Już mają pełną sakiewkę”. Bożenka obserwuje księżyc i czyni takie spostrzeżenia: „Patrz, patrz przez lunetę / I mówię: księżyc jest podziurawiony. / Ale kto go podziurawił? / Chyba tylko wrony. / Jak się tam dostały? / Jak tam doleciały? / Te niedobre wrony / Księżyc podziobały.” Oto fragment wiersza o kotku: „Chodzi kotek z panną myszą, / Panna myśza w weloniku, / A pan kotek w kołnierzyku”. A to o zimie: „Już zamrzły wszystkie rzeki, / Śnieg zasypał górki, / Bierście sanki i zjeżdżajcie / Z górki na pazurki”. Albo o wiosnie: „Siedzi wiosna na tronie fiołkowym, / Ma wianek na głowie”.

Jest dużo wierszy o szkole, o drugiej i pierwszej klasie, o naszej pani, o wakacjach, o Wiśle, Puławach i Kazimierzu, o powrocie do szkoły, ba! są nawet wiersze o okolicznościach: „O pierwszym człowieku w kosmosie”, „Na co głosowałam”, „Na dzień Matki”, „Na Dzień Dziecka” itd. Widać, że Bożenka jest dziewczynką inteligentną i interesuje się wszystkim. Są wreszcie wiersze o charakterze dydaktycznym, bardzo pożyteczne: „Dobrze wam radzę: / Myjcie zawsze ręce, / Żeby nie chorować więcej” albo: „Przysłałam dzisiaj na skwerek, / Patrz — leży papierek. / To dzieci papierki rzuciły / I cały skwerek zaśmieciły (...) / Przecież na skwerku nie będzie ładnie, / Jak ciągle z rąk dzieci papierki upadnie”.

Tych przykładów można by przytoczyć dużo więcej. Ale i tego starczy. Staralem się wybrać najbardziej charakterystyczne. A jaki wniosek? Czy Bożenka jest tzw. „Cudownym dzieckiem” i już poetką? Z pewnością — nie. Dzieci bardzo lubią rymować, a

w młodszych wiąże się to z zajęciem z zabawą i ruchem. Ciekawie pisze o tym K. Czukowski w książce „Od dwóch do pięciu”. No ale w tym wypadku jest to dziewczynka dużo starsza. To, że pisze takie mądre wierszyki, świadczyłoby o jakiejś potrzebie wypowiedzenia się o swych przeżyciach. Ma świeże spojrzenie na świat, czego niejedni poeta mogliby jej pozazdrościć. Zakres jej zainteresowań nie ogranicza się tylko do zabawek. Ma łatwość rymowania, bogatą wyobraźnię, niepospolite słownictwo. Widocznie zna wiele książeczek z wierszami dla dzieci i z pewnością ulega ich wpływowi. Trudno już dziś sądzić, czy to zamilowanie do poezji jest tylko jej chwilowym hobby, czy też z czasem naprawdę stanie się poetką. To się okaże w przyszłości. Nie trzeba jej tylko przewracać w głowie; należy dyskretnie kierować jej upodobaniem i podsuwać odpowiednią lekturę. To już sprawa taktu rodziców i szkoły.

I jeszcze jedno. Wśród wierszyków Bożenki można by wybrać kilkanaście najlepszych (nie wyglądać ich tylko, broń Boże — chodzi o autentyzm), które mogłyby się znaleźć na książeczce. Gdyby znalazło się jeszcze dziecko — ilustrator! Pozycja tego rodzaju została by z pewnością rozchwytywana. Kto by się podjął takiej edycji? Może Nasza Książnica? Może Wydawnictwo Lubelskie?

Zakończę ten felieton przytoczeniem w całości „Rodziny szczerów”, żartobliwego wiersza (Bożenka ma duże poczucie humoru nie tylko w tym utworze), w którym rytmika i powtarzanie wyrazów mają w sobie coś z pieśni ludowej.

Biegnie przez podwórko pan szcurek, pan szcurek. Śliczny na nim z piórkiem czerwony kapturek. Biegnie przez podwórko pani szcurowa, pani szcurowa. Śliczna na niej sukieneczka nowa. Biegnie przez podwórko pani szcurowej córeczka, córeczka. Piękna na niej różowa chusteczka, chusteczka. Biegną przez podwórko pani szcurowej syneczki, syneczki. Mają oni białe koszuleczki, koszuleczki. Biegnie przez podwórko pani szcurowej wujek, wujek. Śliczny na nim garniturek, garniturek. Biegnie przez podwórko pani szcurowej ciotka, ciotka. Taka śliczna, taka wiotka. I zaraz z sobą ślicznie się bawili, Bo wszyscy w nowych ubraniach byli.

X. Rovay

NOTY

ALEZ TUPECIK! „Mit freundlichen Grüßen” Holzner-Verlag (wydawnictwo) w Würzburgu przysłało wydawnictwo matematyczno-przyrodnicze Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie prospekt swoich książek. Jak z tego prospektu widać, wydawnictwo jest nastawione prawie wyłącznie na publikację rewizjonistyczne. Autorami ich są panowie z tytułami profesorów i doktorów. Oto niektóre pozycje: „Die deutsche Volksgruppe in Polen 1934-1939”, „Litauen und seine Deutschen”, „Das Schicksal des Deutschen in Rumänien”, „Das Warthebruch, eine deutsche Kulturlandschaft im Osten”, „Volks Glaube und Brauchtum Ostpreussens”, „Das Danziger Volksleben”, „Die Schwabensiedlungen in Posener Kammerdepartement 1759-1894”. W dziale „Przytoczki wschodniopruskie” widać takie tytuły jak „Deutsche Jugendbewegung und Jugendarbeit in Polen 1919-1939” (znany dobrze tę „prace” w Polsce na własnej skórze), „Preussensland und Deutscher Orden”, „Die letzten Tage von Kolberg”, „Geschichte der Stadt Hohenstein in Ostpreussen” (Olstyniec!). Dział śląski zawiera m. in. „Schlesisches Namenbuch”. W dziale „Dokumentationen” — „Deutsches polnische Begegnungen 1945-1958”. Wśród „Heimathbücher” — monografie powiatów: Ostróda, Giżycko itd. Jest specjalny dział „Deutschland Polen”, gdzie na głównym miejscu figuruje pozycja „Die deutschen Ostgebiete jenseits von Oder und Neisse im Spiegel der polnischen Presse”. To samo również w języku angielskim i francuskim. Podobna publikacja — „Ostdeutschland 1935, 1939 in der polnischen Presse”. Przydał się i nasz Władysław Studnicki. „Das ostliche Polen” (przekład). Nie sposób tu wycisnąć wielu innych jeszcze charakterystycznych tytułów, zanotujemy tylko

wśród monografii wybitnych Niemców — „Nikolaus Kopernikus” (sic!). Wystarczy. Wolno wydawnictwu Holznera jak za najlepszych hitlerowskich czasów wydawać tego rodzaju książki związane ze Śląskiem, Poznańskiem, Pomorzem, Warmią i Mazurami — to nas w NRF nie dziwi. Ale przysłać prospekt tego rodzaju polskiemu uniwersytetowi jest bezczelnością w najwyższym stopniu.

EWA SZELBURG-ZAREMBINA, świetna powieściopisarka, której wrażenia z pobytu we Włoszech drukowaliśmy w ubiegłych latach w „Kamieniu”, otrzymała tegoroczna paxowska nagrodę literacką im. Włodzimierza Pietrzaka.

POWIEŚCI, WSPOMNIENIA CZY DZIENNIKI drukowane w kolejnych numerach tygodników (c.d.n.) — to stanowczo pomysł poroniony: tygodnik to nie gazeta i trudno czekać śledzi dni, aby się dowiedzieć, co będzie w dalszym odcinku. Tym bardziej, gdy w takich tygodniowych dawkach prezentuje się i Dąbrowski, i Putrament w „Przeglądzie Kulturalnym”, i Jasienica, i Wygodzkiego w „Nowej Kulturze”, i Irzykowskiego w „Życiu Literackim”. Przecież nikt nie czyta pięciu książek jednocześnie. A skutek taki, że człowiek w końcu macha na to wszystko ręką i czeka kiedy te utwory zostaną wydane w całości.

LADNY I CAŁKOWICIE KOMUNIKATYWNY WIERZ „Na piec” Jerzego Harasymowicza poddał Piotr Kunciewicz w nrze 50 „Nowej Kultury” tak gruntownej analizie, że nawet posłużył się symbolami cyfr i nawiasów, by uanościć jego kompozycje. I po to, by w zakończeniu stwierdzić: „Czy bez złożonych analitycznych zabiegów byłby (wiersz) niedostępnym? Skądże!” A sam pomysł tego utworu nie jest czymś nowym, że przypomniemy tu piękny wiersz Al. Biłki „Cienie na ścianie”. I tu i tam, choć różne w tonacji, — obrasy wywołane przez światło: gra ognia czy cieni.

-kaj-

KSIAŻKI NADESLANE

PRZEZ WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Marian Piechal — Małpy w kaptel, 1961
Włodzimierz Krzemieński — Jednak jestem, 1961
Jerzy Bobrowski — Kochankowie ATE, 1961
Juliusz Chrościelewski — Rodzina Jednoróżców, 1961
Antoni Kasprzowicz — Wiersze wybrane, 1961
Księgi Humoru Polskiego od Fredy do Bałuckiego — Wyboru tekstów dokonał Juliusz Saloni, 1961
Bogusław Sujkowski — Miasto przebudzon, 1961
Wiesław Jazdyński — Umarł nie składaj zeznań, 1961
Tadeusz Papier — Dwa wygnania, 1961
Jan Izidor Sztudynger — Latki na sztachownicy, 1961
Nora Szczepaniak — Spryszczenie czarnej wydry, 1961
Jan Koprowski — Studia przeszłości, 1961

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Paweł Hertz — Domena Polska, 1961
Andrzej Braun — Noc długich noży, 1961
Julian Eismond — Moje przygody łowieckie, 1961
Kazimierz Orłoś — Między brzegami, 1961
Jadwiga Zylńska — Złota Wioćnia, 1961
Jurij Tynianow, przełożyli Czesław Jastęblec-Kozłowski cz. I i II, Krystyna Lantianowa cz. III
Józef Dzierżkowski — Kuglarze, 1961
Paweł Hertz Słowacki — Romans życia, 1961
Anna Kamińska — Płonące ziele, wybór rasyjskiej liryki ludowej, 1961

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” * Redaguje Kolegium: Waldemar Babinicz, Maria Bechcyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aniela Cach-Piskorowa (dział rzeszowski), Aleksander Gabrusiewicz (dział białostocki), Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz, Ryszard Smolewski (dział kielecki), Anna Tatarkiewicz * Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Granicznej 1c * Telefon: 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywana się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 5063, 16.XII.61 r. Nakład 2.100. W-5.